C2015 2552/1978/11

Żal miejsca pod orzechem

Adolf Lekki str. 11

Komentuje Jan Ciszewski

Krzysztof Woch str. 7

Egzemplarz obowiązkowy BIBLIOTEKA UMCS

ROK ZAŁOŻENIA 1933

Kamena

LUBLIN 28 V 1978 NR 11 (653) DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY CENA 3 ZŁ

MATYLDA WEŁNA

WYŻSZA MATEMATYKA

Odczytać ziemię odcyfrować z kształtów drzew i liści
pojąć sens milczenia każdego zamkniętego w swej całi kwiatka
dlaczego zwykły miecz jest taki powikłany finezyjny
dlaczego kozibród odlany ze srebra wybucha w słonecznych granatach

zrozumieć ziemię w budowie wszystkich skał i zwierząt
rozpoznać sanskryt rogów jelenia i łosia
w księdze istnienia rozwiązać zagadę błyskawicy żmii
kto i dlaczego przekazał nam ten symbol-zygzak
w gadzie broniącym śmiertelnym jadem tajemnicy

skąd ptaki znają drogę do swych gniazd
jak ją widzą w ciemności — odczytać z barwy piór
pokłady węgla z eje zboża owadów i następstwo chmur
poznać rzemiosło strun głosowych i partytur
i tego dyrygenta co podnosi pałeczkę gdy słońce wschodzi

z najdawniejszego posiewu zaklęć mitów wróżb i legend
odczytać historię rodzaju naszą poprzednią planetę
dociec jaka też ona była dla nas ta poprzednia ziemia
pod którym ona słońcem pod jakim imieniem
my do niej wciąż tęsknimy i nazywamy ją niebem

SADZENIE SŁONECZNIKÓW

A tu perz a tu chwast a tu niska trawa
tnij łopato miękisz rolny w dziele nie ustawaj
haftowana dżdżownicami płasko i różowo
i dziergana pędrakami ziemia wstaje znowu

a tu to a tu sio a tu rzodkiewka
grządka środkiem na ogórki z boku na marchewkę
dwie połacie pomidorów koper czosnek ćwikła
sałat pietruch śliw cebuli w lecie nie rozwikłasz

w krąg przy płocie czarna pulchna urodzajna wstęga
skopać trudno plecy bolą ciemięga ciemięga
a ty ziemio przyjm to ziarno a ty ziarno skiełkuj
a ty mrozie precz za góry a ty słonko grzej tu

bo przy płocie na odwachu słoneczniki staną
i otoczą warzyw krocie armią malowaną
nasturcjami maciejkami ogród ich opłącze
i za lejce będzie trzymał jak źrebce płonące

Dalsze wiersze na str. 6

Przedwczoraj — z karabinem
wczoraj — z Apelem Sztokholmskim

O PRAWO DO ŻYCIA W POKOJU

Tadeusz Jasiński

— NIE lubię majątku, bo ja nie utrzymam. Dziś wszystko nastawione jest na dorabianie. Słyszę, ludzie kombinują. Uważają, że państwowe, to więcej niż ich, no, że z tego mogą zagarnąć, wyłudzić dla siebie jak najwięcej, a dać ze swoich rąk, ze swojej głowy — jak najmniej. Kto ma dużo, chce więcej — niektórzy edobrzy są, nieobywatelscy... ja wiem?

Myśli te snuje stary człowiek, który od wielu już lat jest na rencie, a od niedawna na emeryturze. Siedzimy na pierwszym piętrze, nad lubelską ulicą Lubartowską. Słyszymy sunące dołem autobusy i samochody, pisk ich hamulców, jęczenie opon nad uginającymi prawe koło nadmiernymi ciężarami, bo właśnie w tym miejscu przypada skrzyżowanie i trzeba zwalniać. Kiedy zdarzy się choć kilka sekund przerwy w przepływie tego ruchliwego żelastwa

Dokończenie na str. 4—5

Fot. Z. Zugaj

TADEUSZ KUDUK: NIEDZIELA

Olej z cyklu „Krajobraz polski". (Indywidualna wystawa T. Kuduka czynna była w maju w Miejskim Domu Kultury w Łańcucie. Artysta pokazał prace z lat siedemdziesiątych, w tym obrazy powstałe niedawno, pokrewne stylistycznie i emocjonalnie kulturze ludowej i małomiasteczkowej, która — jak się zdaje — miała istotny wpływ na ukształtowanie wrażliwości i sposobu przeżywania świata przez malarza, zajmującego się ponadto z powodzeniem rysunkiem).

z notatnika

10 V. Mija już zmęczenie po podróży. Przedwczoraj o piątej rano dotarłem do Lublina z Naumburga pokonując w przeciągu 19 godzin ponad tysiąc kilometrów. Maluch spisał się znakomicie, w drodze trzeba było pokonywać ulewne deszcze, mgłę i uważać — zwłaszcza na trasie z Piotrkowa do Radomia — na pijanych, którzy nawet grubo po północy krążyli po szosach w stanie mniejszej czy większej nieważkości. Piętnuje się w prasie — i słusznie — pijanych kierowców, ale o pijanych pieszych, których przecież jest znacznie więcej, pisze się znacznie mniej. I milicjanci są dla nich też bardziej tolerancyjni. Mam na myśli milicjantów z tzw. drogówki. A przecież wypadek spowodować może nie tylko ten, który siedzi za kierownicą...

Oczywiście początkowo nie miałem zamiaru za jednym, jak to się mówi, zamachem, przejechać tylu kilometrów. Niestety — od Brzegu do Częstochowy bezskutecznie szukałem hotelu. Owszem, hotele, czy zajazdy były, ale prze pełnione do ostatniego miejsca. Grupy wycieczkowiczów, sportowcy... Indywidualny turysta, który sobie uprzednio nie zamówi kwatery, może tylko liczyć na spanie pod chmurką.

A przecież po drodze, zwłaszcza na Śląsku Opolskim, mija się tyle pięknych, schludnych wsi! Czy nie można by w nich, przynajmniej w tych większych, znajdujących się przy szosach o nasilonym ruchu, zorganizować kwater prywatnych? Tylko w Bolesławcu zobaczyłem na jednym z domów tabliczkę: tu wynajmuje się kwatery, napis był dwujęzyczny — po polsku i po niemiecku.

Dopóki nie będziemy mieli odpowiedniej bazy hotelowej, a coś się w tym kierunku robi, turysta musi mieć w samochodzie rozkładane fotele, albo też jechać z namiotem. Jak tu jednak rozbić namiot, kiedy tak leje, że wycieraczki z trudem zgarniają wodę z przedniej szyby?

•

O samym pobycie w NRD wiele pisać nie będę. Po prostu wykorzystywałem zaległy urlop. W Naumburgu, przepięknym mieście w okręgu Halle, mam dobrych znajomych — Guentera i Gertrudę, oni dwukrotnie byli w Lublinie, ja — aż pięciokrotnie — u nich. Poznaliśmy się w 1973 r. w Ustce i tak zwyczajnie zaprzyjaźniliśmy się ze sobą. Guenter zajmuje się dystrybucją benzyny, jego żona pracuje w Urzędzie Miejskim. Oboje rocznik 1928. III Rzesza się rozpadła i nie zdążyła wcielić Guentera do Wehrmachtu. Przed wojną mieszkał on kilkanaście kilometrów od granicy niemiecko-polskiej, w Siedliskach koło Trzcianki. Do tej miejscowości przyjeżdża i dzisiaj, zwłaszcza że jest zaprzyjaźniony z pewną rodziną polską, z którą zna się od czasów wojny. Franek, wywieziony z Polski, pracował wówczas u bauera. Po wyzwoleniu tych ziem w 1945 r. już pozostał w Siedliskach na stałe. Kiedy córka Franka wychodziła za mąż, Guenter z żoną był, oczywiście, zaproszony na wesele, przywiózł kilkanaście butelek niemieckiej wódki. Z kolei Franek odwiedzał Guentera w Naumburgu. Lepsze wzajemne poznanie sprzyja pogłębieniu więzów przyjaźni. Otwarcie granicy między NRD a Polską było wydarzeniem, którego przecenić nie sposób.

Ja dzięki Guenterowi mogłem poznać południe NRD, znam je dzisiaj nie gorzej niż południe Polski. Teraz zaliczyłem zaś Woerlitz, przepiękny park leżący na południe od Berlina, kiedyś pokazywany w naszej telewizji. Wśród tysięcy samochodów zauważyłem tylko jeden z Polski — z rejestracją szczecińską. Niekiedy wydaje mi się, że nasi turyści kursują w NRD po tradycyjnych szlakach — Berlin, Drezno, Lipsk, nawet do przepięknego Naumburga rzadko któryś z moich rodaków trafia. Na stacji benzynowej w Naumburgu nie bardzo wiedziano, jak obchodzić się z mym małym fiatem, dopiero palcem musiałem wskazać, gdzie należy wlać paliwo. Mały fiat budzi zresztą — im dalej od granicy — coraz większe zainteresowanie. Tak się u nas, w Polsce ogląda jedynie supernowoczesne samochody. Ba — trafił się nawet kupiec, który oferował mi kupno samochodu za 10 tysięcy marek (nowy trabant kosztuje ok. 8 tys. marek).

Moi NRD-owscy przyjaciele pytali mnie, co mi się najbardziej w ich kraju nie podoba. Odpowiedziałem szczerze, że gastronomia. I nawet nie miałem na myśli samej kuchni, bo kurczaki na przykład, które jadłem, były znakomite. W NRD nigdy jednak nie wiadomo, czy po pierwsze dana restauracja w danym dniu jest otwarta, a po drugie — czy akurat można w niej zjeść coś na gorąco. Restauracje zwykle są przez dwa, lub w lepszym wypadku przez jeden dzień, w tygodniu nieczynne. Oczywiście są to różne dni, ale zamknięcie jednej restauracji powoduje, że w drugiej otwartej, jest większy tłok i trudno o wolne miejsce. A kiedy się owo wolne miejsce znajdzie, okazuje się, że właśnie teraz, dajmy na to między czternastą a szesnastą, podaje się tylko zimne dania. Kiedy przyjechałem, zapomniałem przestawić o godzinę zegarek. U mnie było już w pół do piątej, a gorące dania podawano wg karty już od szesnastej. Kelnerka stwierdziła, że „za pół godziny", a ja jej pokazałem zegarek. „Pana zegarek źle chodzi. Dopiero jest trzecia trzydzieści..." Miała rację, w NRD nie wprowadzono czasu letniego... Tak więc nie narzekajmy na naszą gastronomię, chociaż niektórzy pracownicy lubelskiej gastronomii widzą właśnie tę drugą stronę medalu i stwierdzają: „Sklepy mają dzień wolny w tygodniu, a my musimy ciągle pracować bez wytchnienia." Ze swego punktu widzenia mają na pewno rację.

21 V. Po przyjeździe narosły stosy zaległości, nie miałem czasu sięgać do notatnika. Wczoraj rano zaś pojechałem do Zamościa, gdzie mnie zaproszono na Dzień Działacza Kultury. Przy okazji pokazałem Zamość p. Wiesławie Neitel ze Związku Polaków w Austrii „Strzecha", która odwiedziła rodzinę w Lublinie. W Zamościu była ona równo przed czterdziestoma laty.

Zamość przyznał właśnie po raz pierwszy nagrody wojewódzkie dla ludzi, którzy wnieśli szczególny wkład w gospodarczy i społeczno-kulturalny rozwój Ziemi Zamojskiej. Wśród laureatów nagród I stopnia znalazł się Józef Dechnik z Biłgoraja, postać znana i ceniona nie tylko na tej ziemi. Ponadto nagrody I stopnia otrzymali: prof. dr Czesław Madajczyk — dyrektor Instytutu Historii PAN w Warszawie, Rolnicza Spółdzielnia Produkcyjna w Chmielku oraz indywidualnie jej przewodniczący — Władysław Bąk. Wśród laureatów II stopnia jest m. in. Aleksandra Wachniewska — malarka ze Zwierzyńca, Wacław Mazurek — wieloletni muzyk Włościańskiej Orkiestry im. K. Namysłowskiego oraz zespół autorów szczegółowego planu zagospodarowania przestrzennego i rewaloryzacji zamojskiej Starówki z Pracowni Projektowej PP PKZ oddziałów Rzeszów i Lublin: Andrzej Piątek, Janusz Mach, Teresa Piątek, Wojciech Sobek, Stanisław Wiercioch, Kazimierz Brydak i Karol Majewski. Natomiast wśród laureatów nagród III stopnia znajdujemy nazwiska Wincentego Piątaka — prezesa Towarzystwa Regionalnego Hrubieszowskiego i Wacława Daruka — ludowego pisarza z Zadębiec.

Sądzę, że niektórych spośród laureatów warto będzie szerzej przedstawić czytelnikom „Kameny". Uwzględnimy to w naszych planach redakcyjnych. Trzeba się też będzie zająć problemami kultury w Zamościu. Z chwilą powstania województwa podjęto tu wiele wartościowych inicjatyw.

Wieczorem oglądałem w telewizji walki finałowe pięściarskich mistrzostw świata. Nie zamierzam polemizować z autorem zamieszczonej obok „Szpalty o sporcie", pozwolę sobie jednak wtrącić swoje trzy grosze. Finał był właściwie pojedynkiem pięściarzy kubańskich, radzieckich i jugosłowiańskich. Kubańczykom udało się do finału wprowadzić aż ośmiu reprezentantów! Jugosławia miała sześciu, żaden jednak z nich nie zdobył złotego medalu! Tym większe więc brawa należą się Henrykowi Średnickiemu, który pokonał znakomitego Kubańczyka, Remineza. Dzięki temu nasz dorobek zamyka się jednym złotym medalem i trzema brązowymi. Oczywiście nie zadowala to naszych ambicji, ale końcowy efekt nie jest znów taki najgorszy. Wydaje mi się również, że inna imprezą (krytycznie o naszych reprezentantach pisze obok tgw) — Wyścig Pokoju nabiera rumieńców. Czytelnicy będą te słowa czytać już po zakończeniu Wyścigu, nie mniej dziś, w niedzielę, muszę bardzo pochwalić Krzysztofa Sujkę. Stał się on po dzisiejszych zwycięstwach na trasie najlepszym „górałem". Nasi piłkarze przed wyjazdem do Argentyny rozegrali kolejny, ostatni już sparring z drużyną hiszpańską. Wygrali 3:1, choć goście zbytnio się nie wysilali. We wtorek — odlot. A 1 czerwca...

MAJ

SZPALTA O SPORCIE

SPORT polski przeżył w maju dwa sławetne lania: jakby powiedział Szwejk. Wzrastająca z dnia na dzień strata w stosunku do czołówki naszej kolarskiej ekipy w XXXI Wyścigu Pokoju po etapie Praga — Liberec wzrosła do takich rozmiarów, że zespół nasz stracił już kontakt z czołówką i szanse na nawiązanie z nią walki.

Drugie lanie otrzymaliśmy w Belgradzie na mistrzostwach świata w boksie. Wprawdzie pod względem liczby zdobytych medali poprawiliśmy stan z poprzednich mistrzostw, ale opinia sportowa i kibice liczyli na więcej. Liczyli, bo szkoleniowcy zapowiadali, że zespół jest bardzo dobrze przygotowany, bojowy itd. itp.

Na mistrzowskim ringu okazało się co innego. Właśnie z przygotowaniem i bojowością było najgorzej. Nasi bokserzy na tle zawodników radzieckich, kubańskich, jugosłowiańskich a nawet afrykańskich czy azjatyckich razili właśnie brakiem bojowości, kondycją niewystarczającą na trzy rundy walki, słabą ruchliwością. Nie można tłumaczyć wszystkiego złym losowaniem, słabym sędziowaniem, czy wreszcie pechowymi kontuzjami. Charakterystyczny przykład to przegrana walka Kicki, który nabawił się kontuzji właśnie dlatego, że stale szedł głową do przodu i przy lepszym sędziowaniu otrzymałby już za to ostrzeżenie.

Nawet w zwycięskich walkach słaba ruchliwość i brak bojowości raziły u większości polskich bokserów. Stara polska szkoła szermierki na pięści już się przeżyła. Najwyraźniej pokazali to Kubańczycy, Jugosłowianie i bokserzy radzieccy, którzy właśnie świetną technikę umieją łączyć z siłą ciosu, nieustannym atakiem i odwagą.

Tak, odwagą. Bez odwagi nie można zwyciężać w żadnej dyscyplinie sportu. Widzimy to też na przykładzie naszych kolarzy. Trenerzy wyjaśniają, że ich wychowankowie nie mogą atakować, bo są pilnowani przez konkurentów, ale też pilnowani są kolarze ZSRR, NRD i Czechosłowacji i to chyba powinni być pilnowani przez naszych, a tymczasem im ucieczki się udają i to jakie — widzieliśmy na etapie do Liberca. I znów chyba brak odwagi i bojowości. Tegoroczny przebieg wyścigu wyraźnie pokazuje, że wożenie się na kółku, liczenie na zorganizowany przez innych pościg za uciekającą czołówką i inne rutyniarsko-cwaniackie kombinacje nie popłacają. Trzeba liczyć przede wszystkim na siebie oraz twardo i odważnie walczyć, jak robią to nasi konkurenci. To musi być głównym założeniem szkoleniowców w przygotowywaniu kolarzy na przyszłoroczny Wyścig Pokoju, bokserów na moskiewskie igrzyska olimpijskie, lecz także i w innych dyscyplinach sportowych.

Szkolenie sportowców wszystkich dyscyplin sportu powinno w szerszym zakresie obok podnoszenia sprawności wychowywać, pobudzać ambicje zawodnika. Kibice widzą w każdym z nich swego przedstawiciela. Przeżywają jego sukcesy i porażki razem z nim, a może jeszcze mocniej niż on. A że kibicami jest olbrzymia część społeczeństwa, to sukcesy sportowców są przez nich traktowane jako sprawa ogólnonarodowa. I każdy sportowiec — wyczynowiec musi o tym wiedzieć. Wiedzieli o tym lekkoatleci słynnego Wunderteamu i pomagało im to wygrywać. Więcej zatem trzeba pracy wychowawczej w sporcie.

Jeszcze jedną przyczynę niepowodzeń warto zauważyć. Jest nią na pewno zmniejszająca się liczba młodych ludzi chętnych do ciężkiej pracy, jaką jest trening bokserski czy kolarski. Wzrasta liczba telewizyjnych kibiców, ale nie pociąga to za sobą wzrostu kadr czynnych sportowców. Młodzież leniwieje. Woli motorykl czy samochód od roweru. Przedkłada dyskotekę nad boks. I tu też trzeba chyba większej pracy wychowawczej.

tgw

Witold Zechenter

JESZCZE nie tak dawno opublikowaliśmy Jego wspomnienia o Lechoniu. Nie wiedzieliśmy, że za niespełna miesiąc Jego nazwisko ujrzymy w żałobnej obwódce. Dnia 28 kwietnia 1978 roku umarł w Krakowie poeta i satyryk, jeden z najwydajniejszych ludzi pióra, uczestnik wielu wydarzeń literackich, Witold Zechenter.

Urodził się w Krakowie dnia 29 grudnia 1904 roku. Po skończeniu studiów na Wydziale Humanistycznym Uniwersytetu Jagiellońskiego studiował literaturę porównawczą na Sorbonie, w Paryżu. Stamtąd jako dziennikarz wyjeżdżał często do Belgii, Niemiec i Czechosłowacji. Po powrocie do Krakowa w roku 1932 kontynuował działalność dziennikarską. Podczas okupacji w latach 1943—44 był więziony najpierw „Na Montelupich", następnie w obozie w Płaszowie.

Jako poeta debiutował w roku 1921 będąc członkiem (wespół z Leonem Kruczkowskim i Ignacym Tikiem) grupy poetyckiej „Helion", następnie „Litart". Pierwszą Jego książką był wydany w roku 1929 tom poezji „Ręka na sterze". W latach 1932—39 ogłaszał w prasie krakowskiej wiersze i utwory satyryczne, które wpisały Jego nazwisko w poczet najpopularniejszych autorów.

Po wyzwoleniu rozpoczął intensywną działalność literacką. Był kierownikiem literackim Teatru Młodego Widza i Państwowego Teatru Polskiego w Bielsku-Cieszynie. Wydał m.in. „Strzępy okupacji", „Wilk z partyzantami", „Bajki o matce", wiersze i opowiadania. Szczególną pozycję w Jego dorobku zajęły satyry, jak „W mojej razurze", „Parodie", „Fraszki" i „Z pegazem pod gazem". Jego obszerny tom wspomnień „Upływa szybko życie" stanowi pasjonującą lekturę dla czytelnika smakującego w retrospektywnym spojrzeniu na autentyk życia literackiego, jego wydarzenia i śmieszności.

Nazwisko Zechentera związane jest z dziejami również lubelskiego ruchu literackiego. Młody wówczas autor często gościł na szpaltach „Kameny" przedwojennej, a i starszy w latach powojennych prawem serdecznego odruchu nie zapomniał o życzliwych Mu tutaj kolegach po piórze. Krakowskie koneksje tkwiące w tradycji naszego pisma głównie dzięki Zechenterowi znalazły swe przedłużenie.

Jeden to już z ostatnich. Jeden z ostatnich, którzy stanowią „arkę przymierza między dawnymi a nowymi laty". Ale właśnie dlatego, że Witold Zechenter do nich należy, pozostanie w pamięci jako czynnik ciągłości literatury, jej uroków, jej powodów do zdumienia, radości i zadumy.

NA DRODZE STAŁ KOŁOBRZEG (3)

Spotkania frontowców

Alojzy Sroga

TADEUSZ Sokulski [1]), wraz z chorążym Stanisławem Siedleckim, doświadczonym żołnierzem spod Lenino, a dziś Tadkowym dowódcą plutonu, zeszli do piwnicy. Pełno tu wina. Wśród mieszkańców są dwie Polki. Witają serdecznie wyzwolicieli. Urządzają im małą winną ucztę. Skoroście, drodzy, tu wstąpili...

Polki stają na drodze nie tylko żołnierzom trzeciego batalionu siódmego pułku, ale i batalionowi szkolnemu.

Podporucznik Henryk Rzepkowski [2]) stoczył w dzień boj o bunkier, który miał drzwi — to dziwne — nie od strony morza, a właśnie od lądu, nacierających. Zdobyli go, dopomógł w tym swoimi ckmami chorąży Albin Mroczkowski, który jakby połączył się z kompanią Rzepkowskiego.

Pocisk, który rąbnął, gdy stali już u wyjścia z bunkra ciężko ogłuszył, kontuzjował podporucznika Mroczkowskiego. A rankiem on właśnie wyzwolił grupę cywilów, wśród nich — Polki.

Podporucznik Rzepkowski troskliwie zajął się kolegą.

— Heniek, nic nie słyszę — mówi doń Mroczkowski, gdy już na dobre się ocknął.

Rzepkowski wskazuje mu drogę do tyłu, niech idzie do punktu medycznego, ma pełne prawo.

Albin kręcił głową.

— Nigdzie nie idę. Będę z tobą.

Pierwsza i druga kompania batalionu szkolnego ma w zasadzie tylko ubezpieczać działania siódmego pułku i „czyścić" za nim teren — sprawdzać piwnice, mieszkania, bunkry, czy ktoś tam nie został.

Raz po raz muszą jednak wchodzić do walki.

Blisko siebie działają pierwsza i druga kompania batalionu szkolnego.

W drugiej — walczy Adam Wiszklewski i Franciszek Jankowicz. W pierwszej — Kazimierz Danielewski. Nie udało mu się już spotkać ciotecznego brata, Józka Króla.

Danielewski uczestniczy w zdobyciu bunkra. Jest blisko Rzepkowskiego. Razem obserwują niebywałą scenę. Przez uliczkę prowadzącą do głównej ulicy, nie można przeskoczyć. Strzela skądś ukryty Niemiec.

I oto wychodzi typowa łajza. Obdarty, zakurzony. Żołnierz siódmego pułku. W ręku ma pepeszę.

— Nie idź tam! — ostrzegają go koledzy ze „szkolnego" — Tam Niemiec strzela.

— Gdzie? Tam?

Wchodzi na ulicę, nie mierząc pruje serią z pepeszy we wskazanym kierunku. Stoi jak na paradzie.

— No i co? Można iść.

Poszedł krokiem zmęczonego robotnika, szukać swoich.

Historia dziwna, niezrozumiała, podobna do wcześniejszej, również obserwowanej przez podporucznika Rzepkowskiego i jego żołnierzy.

Sunął w kierunku, skąd strzelało szybkostrzelne działo przeciwlotnicze, czołg ciężki, IS-2.

I nie z działem się zmierzył. Nieoczekiwanie wyskoczył z ruin domu żołnierz niemiecki z pięścią pancerną. Spokojnie zmierzył się do czołgu. Nikt, literalnie nikt, nie spostrzegł tego jednego gestu, nie zdołał mu przeciwdziałać. Wystrzelona pięść pancerna wylądowała na ciężkim czołgu. Zraniło kierowcę — mechanika starszego sierżanta Wasilija Markowa, ciężko — dowódcę czołgu, jednego z dwóch Bondarenków w pułku, choć nie braci — Andrieja... Ranę w nogę odniósł podporucznik Leszek Budzyn, zastępca do spraw polityczno - wychowawczych dowódcy pierwszej kompanii czołgów. Taka była niepisana w pułku umowa: skoro dla oficerów politycznych nie ma etatowych czołgów, a chcą oni iść w bój — przejmują w wozie funkcje ładowniczych. Przy jej pełnieniu zdobył ranę Budzyn, lwowianin, który w trzydziestym dziewiątym roku, jako podchorąży dziewiętnastego pułku piechoty, brał udział w walkach ulicznych z Niemcami we Lwowie. On i Markow wyszli obronną ręką. Bez nadziei utrzymania przy życiu odwieziono do Charzyna, do san-batu porucznika Bondarenkę.

Nocą czołg ściągnięto, zabrano się do jego remontu. Wóz pójdzie w bój. Musi otrzymać nową załogę.

Przed wieczorem podporucznik Rzepkowski ma nowy kłopot. Musi wycofać pluton podporucznika Henryka Zalasa z domu, który zdobyli w ciągu dnia. Teraz — płonie.

Posyła gońca. Wrócił pluton. Nie ma Zalasa.

— Gdzie porucznik?— pyta ich.

— Tam został.

— Co, ranny?

— Nie — śmieje się. — nie chce iść.

Pędzi rozsierdzony Rzepkowski, człek z natury panujący nad nerwami. Usłyszał z palącego się domu... muzykę.

Wpada, a tu podporucznik Zalas, w cylindrze, w towarzystwie polskich dziewcząt.

— Henryk, zwariowałeś? Piłeś?

— Nie.

— Dom się pali!

— No to co? — i z radością klepnął się po cylindrze. — Spotkaliśmy dziewczęta z Warszawy, jest muzyka, czemu się chwili nie zabawić?

Rzepkowski kiwa głową.

— No dobra, pobawiliście się, chodź!

Idą. Docierają do kompanii. Spotykają dowódcę drużyny. Sierżant Edward Dysko już pod Lenino walczył w drugim pułku.

— Co, Edziu? — pyta Rzepkowski.

— W porządku, panie poruczniku. Mamy nowych jeńców.

Do niewoli jedni przychodzą dobrowolnie, innym trzeba nieco pomóc. „Pomógł" niemieckiemu patrolowi i porucznik Feliks Zarożny [3]), gdy wieczorem wyszedł na łowy. Odbił bardziej od batalionu w kierunku widniejącego ratusza. Przycupnęli w domu. Słychać kroki.

— Chyba trzech — podpowiada Stanisław Stryjewski.

— Ci... — ostrzega jeszcze raz Zarożny.

Przeszedł koło nich trzyosobowy patrol.

Skoczyli mu niemal na plecy. W niewoli jest wachmistrz i dwóch starszych wiekiem żołnierzy.

Wciągają ich do domów, Zarożny, za pośrednictwem Stryjewskiego, z miejsca przesłuchuje jeńców: gdzie biegną ich linie obrony.

— Jak to? My przecież jesteśmy na swoim terenie! — mówi zdumiony wachmistrz.

Któryś z żołnierzy polskich, pewnie w chęci skłonienia do lepszych zwierzeń, podsuwa kawał słoniny i butelkę wina.

Zarożny patrzy na to przez chwilę. Ironicznie pyta żołnierza.

— A zajrzałeś mu do plecaka?

— Nie.

— To zajrzyj, zobacz, co on ma.

Zaopatrzenie jest faktycznie godziwe. W plecakach jeńców — suchary i duża porcja konserw.

— Widzisz, a ty go chcesz słoniną karmić.

Odprowadzono jeńców. Zarożny dalej poluje.

Przed wieczorem do plutonu ciężkich karabinów maszynowych w trzecim batalionie przybiegł Kamil Mach z ósmego pułku artylerii haubic. Dopiero teraz ustalił, gdzie powinien być brat, Henryk, chorąży, dowódca plutonu.

Rankiem, gdy Henryk Mach dostał rozkaz przejścia do wspierania innej kompanii, spotkał nieoczekiwanie na swej drodze chorążego Kazimierza Steca z dziesiątego pułku.

— Co tu robisz?

— Nasza dywizja też tu jest od wczoraj.

— A ty, tutaj? Tu przecież trzecia dywizja.

— Ja, zwiadowca! Gdzie mnie nie poślą, tam wyrosnę.

Zatrzymali się na chwilę — koledzy jeszcze z lat szkolnych w Tarnopolu. Stec poczęstował Henryka trofejnymi sardynkami, dobył manierkę ze zdobycznym alaszem. Wypili po łyku. Wyjątkowe świństwo! Trzymaj się, bywaj!...

Po południu Stec spotkał żołnierzy, którzy rankiem towarzyszyli Machowi.

— Gdzie chorąży?

— Zginął nasz porucznik — spuszczają nosy na kwintę.

A teraz przybiegł brat, Kamil.

— Gdzie mój brat, chorąży Henryk Mach?

Znów muszą odpowiadać i opowiadać, że niedawno zginął podczas ataku na dom.

Żołnierze szukają wiadomości o braciach i ojcach.

Stanisław Jurczenko — syn, takie z ósmego pułku artylerii haubic, koło wysokiego domu przy szosie śmierci, w którym i ich pułk ma punkt obserwacyjny, spotkał sąsiada z ich wsi Płotysz, Jana Grabasa. Służy razem z jego ojcem. Ostatni raz widzieli się dwaj Stanisławowie na Saskiej Kępie, w grudniu. Ojciec dał mu sweter, szalik, kieliszek wódki i — czego dawniej nigdy nie czynił, toż Stasio — chłopiec! — dwie paczki papierosów.

— Ja nie palę, tato.

— A od czego masz żółte palce?

Za Bydgoszczą ich samochód minął piechociński kolumnę. Dostrzegł w niej ojca. Pomachał mu. Usłyszał: „synu, synu".

Żołnierski telegraf przyniósł Stanisławowi Jurczence — synowi wiadomość, że dziesiąty pułk też jest w Kołobrzegu.

Pyta więc Grabasa.

— Panie Janie, nie wie pan gdzie mój ojciec?

— Nie zawracaj dupy! — ręką wskazał płonący Kołobrzeg.

Staszek, bombardier i zwiadowca drugiej baterii, poszedł z kolegami w miasto. Doszli do wieży ciśnień. Już zdobyta przez siódmy pułk. Próbują się wdrapać na wielką budowlę. Toż ich zwiadowczy obowiązek! Kontentują się niższymi gruzami. W sąsiedztwie ratusza dostrzegli wielu wrogich żołnierzy.

— Matko Boska! Ilu Niemców! — krzyczy Jurczenko. Na wszelki wypadek artylerzyści zaczęli strzelać z pepesz, Niemcy, pod naporem trzeciego i drugiego batalionu siódmego pułku, grup z osiemnastego pułku — i tak chwalebnie uciekali.

Zwiadowcy, niezależnie od przydziału — artyleria czy piechota — faktycznie wyrastają tam, gdzie ich nikt nie posłał.

Podporucznik Jerzy Jaworski [4]), dowódca plutonu zwiadu konnego siódmego pułku piechoty, tym razem wybrał się z plutonowym Kazimierzem Janowskim, znanym w pułku głównie z racji noszonej brody, lwowianinem o niewyparzonej gębie.

Janowski początkowo służył w pierwszej kompanii strzeleckiej. Na Pradze ochotniczo zgłosił się wraz z plutonowym Antonim Prystupą — pięćdziesięciolatkiem! — do zwiadu. Wspólnie z braćmi Stefanem i Romanem Dreglerami, zwiadowcami zdobył część kołobrzeskiego domu i niemieckiego elkaem.

Innym razem przyniósł jako trofeum dwa piękne skórzane płaszcze; jeden zaniósł w prezencie dowódcy pułku, Stanisławowi Russijanowi.

— Dobra skóra, obywatelu majorze — rekomendował.

Russijan machnął ręką, nie to mu było w głowie, ale następnego dnia Janowski z satysfakcją dojrzał płaszcz na szczupłej sylwetce dowódcy.

Teraz z Jaworskim chcą przepatrzeć okolice zdobywanego, czy już zdobytego wielkiego gmachu. Szpital nie szpital, szkoła nie szkoła...

Wcześniej jednak Janowski sprawdzając piwnice — ano, już wycisnął za oszewkę niejednego szwaba z podziemia — natknął się na wielkie zgrupowanie, istny pułk, butelek. Otworzył jedną, strzeliła, zaszumiała. Posmakował. Wola Jaworskiego.

— Jurek, chodź, tu jakaś fajna lemoniada.

Jaworski zaś — bądź co bądź uczył się przed wojną w podchorążówce kawalerii w Grudziądzu — popatrzył i pokiwał głową z politowaniem.

— Frajerze! To szampan, nie żadna lemoniada.

— Szampan? Niech ci będzie. Klawo gasi się tym pragnienie. Ty! Jurek! Szkoda, żeby jakiś bachor, co się nie zna na rzeczy, podwędził to.

Jurek kiwa głową, ale jego męczy coś innego. Schodząc do piwnicy na wołanie Janowskiego, zobaczył samochody za tym wielkim szpitalem — nie szpitalem. Jest kawalerzystą, ale samochód też umie prowadzić. Przydałby się... Pluton zwiadu zmotoryzowanego? Może.

Jurka Jaworskiego, nieodmiennie „koniarza", bo dyrektora stadniny koni w Kozienicach, ściągnąłem także do Kołobrzegu. Przyjechał — tuszę — nie przekraczając dozwolonych szybkości, ale na ich górnej dopuszczalnej granicy — oczywiście fiatem 125.

Gdyśmy już objechali Budzistowo i Niekanin, przedeptali interesujący nas fragment szosy śmierci, przywiozłem Jurka, przyjaciela mądrego i prawego, na miejsce przestępstwa. To miło takiego człowieka przyłapać na czymś takim...

— No to mów, jak było z samochodem.

Jesteśmy na ulicy Katedralnej, na zapleczu szkoły, która kiedyś była liceum dla dziewcząt, w czasie wojny rzeczywiście szpitalem, po wojnie zaś przechodziła różne metamorfozy, szkołą pozostając.

— Zwyczajnie. Zaraz byś chciał sensacji. Ech, wy, pisarze, żurnaliści... Zajrzałem za mur, zobaczyłem samochody. Pomyślałem, że dobrze byłoby jeden mieć, miałbym czym dojeżdżać do Niekanina. Tam z taborami stał Leon Muraszko, bo ja ciągle wypadałem do Kołobrzegu, no i jak wiesz, zawsze w otoczeniu Russijana. W każdej chwili mogłem mu być potrzebny.

Przelazłem przez płot. Ktoś jeszcze był ze mną.

— Może Janowski, z którym szampan szabrowałeś?

Popatrzył na mnie bardzo brzydko i koso.

— To już też wiesz?

— Wiem.

— Może i Janowski. Stało kilka wozów — mercedesy, wanderer. W jednym nie było kluczyka, w drugim benzyny. Wreszcie jest — z kluczykiem i benzyną, chyba właśnie wanderer. Tamta ulica...

— Cyrankiewicza — podpowiadam.

— No właśnie, była ostrzeliwana. Naprzeciw — domy, nie trawnik jak dzisiaj. Dogadaliśmy się z artylerzystą, stała siedemdziesiątkaszóstka, o, tam, gdzieś koło banku, żeby ostrzeliwał ulicę, a ja pędem wyjadę. Nie mogłem przez Katedralną, bo tu był mur. Musiałem wyjechać na Cyrankiewicza. Umowa była honorowa — chłopcy puścili parę pocisków, ja po szatańsku wyjechałem...

— Pewnie od tego czasu jeździsz tak szaleńczo? — pytam niewinnie.

Tym razem śmieje się.

— Nie mam czasu wolno jeździć... Może tam i wiozłem ten twój cholerny szampan...

— Mój, mój — gderam — najwięcej się go napiłem.

— No, niedługo nacieszyłem się zdobyczą. Chyba po jednym dniu Russijan mi zabrał samochód. Toteż, nauczony doświadczeniem, później, chyba szesnastego albo siedemnastego, gdy w starciu wręcz zabiłem Niemca w mundurze marynarskim i zabrałem mu lornetkę, już się dowódcy pułku, ani żadnemu wyższemu oficerowi zdobyczą nie pochwaliłem.

— To ta, co ją masz w Kozienicach?

— Ta sama. Przeszła ze mną przez cały front, mimo mego ciężkiego ranienia pod Berlinem, nie zginęła.

Idziemy powoli do samochodu. Jurek pokazuje jeszcze domy, które stoją przy ulicy Walki Młodych i w bocznych uliczkach.

Dokończenie na str. 7

[1]) Po wojnie, przez dłuższy czas służył w wojsku na Lubelszczyźnie.

[2]) Po wojnie m. in. szef sztabu 7 pp. Obecnie generał brygady.

[3]) Po wojnie pełnił m. in. służbę wojskową na Lubelszczyźnie. Obecnie mieszka w Sudetach, pułk. rez.

[4]) Wychował się i mieszkał na Zamojszczyźnie. Stąd w 1944 r. poszedł do wojska.

POLONIJNE SPOTKANIA W RFN

MATERIAŁ do reportaży, których publikację tym właśnie odcinkiem kończę, zbierałem zwyczajnie, obserwując to, co się działo na ulicach miast RFN, w autobusach i tramwajach, w knajpach i muzeach, na dworcach kolejowych i w kościołach. W Kolonii, naturalnie, obejrzałem katedrę, lecz zachwycenia swego budowlą nie uwierzytelniłem datkiem na jej konserwację, wychodząc z założenia, że zamożne państwo stać na ochronę zabytków we własnym zakresie. W Hamburgu wjechałem na platformę widokową wieży telewizyjnej, gdzie kilku młodych ludzi w skórzanych kurtkach zagadało do mnie po polsku śmiejąc się ni to ironicznie, ni to niewyraźnie.

W owym rozległym mieście, którego nawet rodowici hamburczycy dobrze nie znają, wdepnąłem także do znanej dzielnicy z panienkami na wystawach, eksponowanymi jak towar — nie pierwszego, sądząc na oko, gatunku. Mają one przecież swoich konsumentów, skoro Sankt Pauli jest drugim po porcie źródłem dochodów Hamburga. Zdumiewające przy tym, jakim cudem przy ulicy o długości 310 metrów udało się ulokować: 2100 barów i restauracji, cztery zakłady pogrzebowe oraz po jednym posterunku policji i kościele. Gospodarz tej ostatniej instytucji nie narzeka na frekwencję, a i podobno jakieś bardziej konkretne sukcesy moralne odnotowuje w rubryce „nawrócenie jawnogrzesznicy".

Także w Buchum, gdzie znajdowała się moja baza wypadowa, zbierałem okruchy codzienności, z pewnym zdumieniem odnotowując fakt, że do salonów automatycznych gier hazardowych młodzież wpuszczana jest, owszem, ale dopiero wówczas, kiedy ausweisem udowodni ukończenie lat osiemnastu. Czy tego rodzaju troska o morale młodego pokolenia daje spodziewane rezultaty — nie mnie o tym wyrokować. Wiem przecież, że w wielkim uniwersytecie Bochum nie należy zostawiać np. płaszcza na wieszaku w przedsionku do uczelnianego muzeum sztuki. Kiedy nieświadom rzeczy umocowałem swój przyodziewek na tym przyrządzie i próbowałem paść na twarz (intencjonalnie) przed znakomitymi zbiorami malarstwa — Dubuffet, Herbin, Vasarely... — podszedł do mnie po generalsku udekorowany portier i czułym szeptem zachęcił do przeniesienia wyrobu firmy „Próchnik" na jego własne, służbowe krzesło: „Bo może zginąć". Tak, kradną tam ostro, bardziej niż u nas.

A poza tym rozmawiałem z Polakami mieszkającymi w RFN. W miejscach publicznych i prywatnych, w dzień i w nocy, na zachodzie Republiki, na południu, na wschodzie — godzinami gadałem o polityce, ekonomii, o sztuce, ale najczęściej o sprawach drobnych, składających się na codzienną egzystencję tych zapracowanych ludzi. Opinie naszych rodaków, zbudowane na osobistych doświadczeniach, wydały mi się na tyle sprzeczne ze stereotypami, które oplatają u nas temat niemiecki czy polsko-niemiecki, że warto je przedstawić.

A zatem: stosunek do pracy, poziom kwalifikacji. Wiadomo, Niemcy to solidni fachowcy, wydajni producenci. Generalnie rzecz biorąc wszyscy moi rozmówcy potwierdzali tę opinię, ale...

Pielęgniarka, instrumentariuszka w wielkim szpitalu klinicznym, zatrudniającym ludzi z około 30 krajów: — Mój profesor to znakomity i odpowiedzialny specjalista, ale na chirurgii dochodzi do skandalicznych przypadków wstawiania wadliwych protez w uszkodzone kończyny. Po pewnym czasie trzeba wymieniać je na dobre, rozbijając gips na nodze czy ręce pacjenta. Poza tym tutaj chętnie i szybko spisuje się chorych na straty. W Polsce reanimuje się człowieka przez cztery godziny, tutaj — jedną. A pielęgniarki nie posiadają ani większych kwalifikacji, ani serca do pracy. Gdybym mogła, to natychmiast wymieniłabym z 50 Niemiek na tyle samo polskich pielęgniarek. Wiem, co mówię, bo wyjechałam z kraju dopiero osiem lat temu, po małżeństwie z Polakiem urodzonym i mieszkającym w RFN.

Urzędniczka, lat 50, do Republiki trafiła w ramach tzw. łączenia rodzin dziewięć lat temu: — Nauczyłam się niemieckiego i biegłego pisania na maszynie, choć mam zaawansowany reumatyzm. Podczas egzaminu po kursie stukałam prawie 200 uderzeń na minutę, dziesięcioma palcami. W końcu zaczęłam przewyższać w pracy swoje niemieckie koleżanki, awansowałam. Więc zaczęły się intrygi i w rezultacie odkryłam w ścianie za swoimi plecami aparat podsłuchowy. Nie wytrzymałam nerwowo, wybuchłam, no i straciłam pracę... Z obecnej jestem zadowolona, nieźle zarabiam, mam ładne mieszkanie w nowym bloku, który wzniesiono bodaj w rok, no i rzetelnie, bez usterek. Ale z tą ich robotą to różnie bywa. Niedawno postanowiliśmy z mężem wbudować szafę we wnękę przedpokoju, w związku z czym zwróciliśmy się do odpowiedniej firmy, która szybko przysłała robotników: pięciu młodych chłopaków. Chciałam ich pozyskać, więc nakryłam w przedpokoju stoliczek, zastawiłam mebel piwem. Wypili, lecz zamiast brać się do roboty, zaczęli jakieś manipulacje zapałkami. Co się okazało: Oni losowali kto pójdzie po wino, a kto będzie pracował! Ostatecznie działali takim sposobem: jeden dłubał przy szafie, a czterech piło, potem inny pracował i znów czterech piło. Dopiero po trzech dniach szafa trafiła do wnęki!

Lekarz o rozległej praktyce prywatnej, kilkadziesiąt lat mieszkający w RFN, dobrze znający tutejsze stosunki i ciągle odświeżający swą wiedzę profesjonalną: — Polska służba zdrowia jest lepiej zorganizowana od niemieckiej, tylko obawiam się, że wy sami tego nie doceniacie. Brak łóżek w szpitalach czy w ogóle nowych obiektów lecznictwa zamkniętego to inna sprawa, związana z krajową sytuacją gospodarczą.

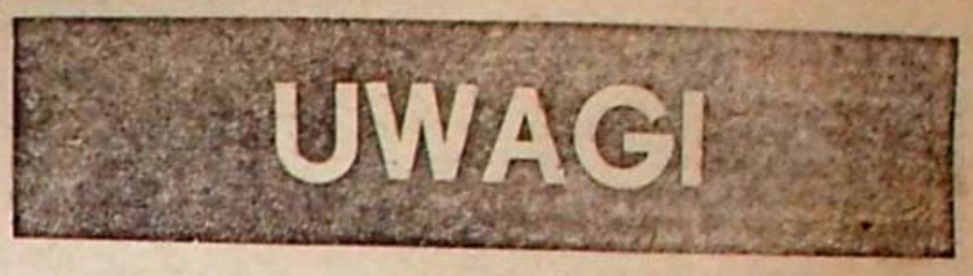

Niemcy pracują rzetelnie i wydajnie, to nie ulega wątpliwości, ale gdzieś tam postawiono dom z łazienkami i ubikacjami, lecz bez rur odpływowych. W mieszkaniu znajomych widnieją w ścianach łazienki wielkie dziury, o średnicy 30 cm, ślad po ekipie remontowej, która gościła tam pół roku wcześniej i mimo próśb oraz nalegań nie zdążyła dotąd sfinalizować roboty. Most w Hamburgu, piękny wiszący most, pod którym mogą przepływać stutysięczniki, pokrywa korozja, choć imponującą konstrukcję oddano do eksploatacji zaledwie dwa i pół roku temu... Można powiedzieć, że zdarza się, że w postindustrialnych Stanach Zjednoczonych także walą się nowe domy i wiadukty, że takie przypadki są naturalnym marginesem każdego rozwiniętego organizmu społeczno-gospodarczego, nastawionego na masową i szybką produkcję. Owszem, wyjaśnienie sprawy w tak rozległej perspektywie jest przekonywające i w gruncie rzeczy likwiduje wszelkie próby generalizacji zjawiska, nie obudowanego na dodatek statystyką. Pięciu garbatych turystów zachodnioniemieckich na Krakowskim Przedmieściu w Lublinie to ostatecznie nie powód do wniosku, że wszyscy obywatele kraju nad Renem są tak samo ułomni. Tych pięciu może przecież reprezentować jakąś wycieczkę specjalistyczną. No i dobrze — gdyby nie ten incydent z szafą, którą przez trzy dni montowało pięciu podpitych chłopaków. Jak ktoś trafnie podpowiedział: 15 lat temu za takie coś straciliby oni pracę, a nawet możliwość podjęcia jej w innej firmie.

Niemcy pracują sprawnie i rzetelnie, ale ich stosunek do pracy jest dziś chyba inny, niż kiedyś. Wśród półtora miliona bezrobotnych RFN jest całkiem pokaźna grupa — nie znam liczebności, ale zetknąłem się z kilkoma przypadkami, a to dużo, jak na miesięczny pobyt w tym kraju — ludzi zadowolonych z krytycznej sytuacji. No bo tak: całoroczny zasiłek pozwala im na znośne życie, po tym okresie otrzymują co prawda tylko 80 procent wiadomej zapomogi, ale to także wystarcza, tym bardziej, jeśli pracuje się „na czarno", kładąc na przykład modne tutaj tapety w prywatnych mieszkaniach. Kiedy więc urząd atrudnienia oferuje im robotę lub miejsce na kursie nowego zawodu, gwarantując opłacenie kosztów nauki, owi bezrobotni znajdują sporo argumentów broniących ich przed wmanewrowaniem w fatalną sytuację. Nie obchodzą tych ludzi prestiże i awanse społeczne, czy regularne podwyżki płac przysługujące pracownikom administracji państwowej. W niemieckiej hierarchii wartości coś się chyba poprzestawiało. Widać to na najniższych piętrach społecznej organizacji, ale też na tym groźnym poziomie, który manifestuje się pod nazwą terroryzmu.

Obywatele RFN piją sporo. Więcej czy mniej od nas, nieważne w tym przypadku. Istotne, że alkohol stał się w Republice nieodłącznym elementem życia publicznego i prywatnego. Oto polonijne informacje i opinie na ów znajomy temat.

Krawcowa w dużych zakładach odzieżowych, lat 55: — Najbardziej piją w święta, na umór piją, zastawiając w lombardach biżuterię i garnitury. Wokół mojego osiedla w Düsseldorfie rozciągają się łąki i tam właśnie, ciepłą

O PRAWO DO ŻYCIA W POKOJU

Dokończenie ze str. 1

i odchodzi spalinowa mgiełka ku „Bazarowi" i targowisku, słychać z parteru brzęk noży i widelców, uderzenie ciężkich kufli w restauracji „Zamkowa". Franciszek Oberda jest sam, od wielu lat całkiem sam — spogląda na portret Marii, widać energicznej kobiety — i od siedemnastu lat pozostaje w tym mieszkaniu, aby córki wyprowadzić na ludzi. Elżbieta miała wtedy dwanaście, Alicja dziewięć lat. Namawiała siostra, nakłaniali sąsiedzi, ale nie wierzył, aby inna kobieta mogła zastąpić dziewczynkom prawdziwą matkę, więc on sam, on jeden przy dzieciach. Gdyby patrzeć na metrykę, to jeszcze mógł, kandydatki życzliwi mu podpowiadali, ale starsza córka, kiedy raz usłyszała od sąsiadki o drugiej mamusi, na każdą kobietę patrzyła z wrogością, a młodsza także jej ulegała i chociaż żadnego prawdziwego zamiaru nie było, to gdyby nawet w nim dojrzał, to i tak dla spokoju i nerwów dzieci należałoby zrezygnować, chociaż życie swoje konieczne było odmienić.

Słyszę więc o tym, o czym w poprzednim numerze „Kameny" wspomniał profesor Brzęk, przypomniał pokojową działalność człowieka, który pochyla właśnie mocno już wyłysiałą głowę i o czymś gorzko duma. Następne zdania słyszę dopiero po sporej chwili, gdy obaj spostrzegamy, że milczenie zbyt się przedłuża, że w ten majowy poranek, gdy przez okno wdziera się słońce, aby wynagrodzić poprzednie dni deszczowe, można inaczej, radośniej. I rzeczywiście starszy sierżant Franciszek Oberda z VII Dywizji Piechoty II Armii Wojska Polskiego uśmiecha się i znowu snuje wspomnienia, tym razem o chwili, którą w tym roku mogliśmy świętować przez trzy dni.

9 maja 1945 roku sierżant nie wiedział jeszcze, że obudził się w dniu, który zapamięta nie tylko on, ale i narody Europy. Na wszystkich odcinkach frontu było jednakowo, chociaż nikt przecież nie reżyserował, jak mają zachować się zwycięzcy żołnierze w tej chwili, oczekiwanej od lat. Najpierw miała przecież ona nastąpić we wrześniu, potem na gwiazdkę trzydziestego dziewiątego, a później już każda wiosna, każdy nowy rok miał być tym ostatnim przed radosną wiadomością... Gdziekolwiek zastała wojaków wiadomość, wszędzie strzelali długimi seriami w słoneczne niebo, bo w tym rozgwarze milionów karabinów, wybuchu granatów, salutów armatnich, najłatwiej zwycięzcom obwieścić swoje dzieło i wszechogarniającą radość. Również stosunkowo młodego wówczas sierżanta Oberdę salwy wyrwały z normalnych zajęć wojskowego naczelnika poczty. Najpierw odczuł lęk. Może natarł na Spremberg jakiś desperacki oddział pokonanej armii, a jeśli są okrążeni? Chwycił, jak wielu, za karabin, ale wnet się zorientował po smutnych minach napotkanych Niemców, po jaśniejących obliczach polskich i radzieckich kolegów. Dołączył, także wystrzelał wiele naboi w rozpogodzone pokojem niebo.

Radość tej chwili oddaliła przeżycia z kwietniowych dni, kiedy przeszli Nysę, gdy jego pułk znalazł się w okolicach Rothenburga, a w końcu w Klitten... Po sierpniowej mobilizacji i nieustannym szkoleniu, po przysiedze pod Wrocławiem, gdzie Michał Rola-Żymierski powiedział im: „Zbliża się nasz ostatni bój, ale Niemcy są jeszcze silni!" — poszli w wielkie bitwy i mniejsze potyczki. I choć już przedtem od styczniowej ofensywy wciąż przemierzali wielkie połacie wyzwalanego kraju, chociaż odczuł w nogach Warszawę, Kutno, Poznań, Krzyż, Piłę, przemaszerował na ukos ziemie od Warty aż po podwrocławską Odrę, kiedy trzeba było iść przez jedną i drugą Nysę, gdy pod stopami poczuł niemieckie szlaki, pojął sens i prawdę słów naczelnego dowódcy, bo opór wciąż był wielki i wcale nie wydawało się, że dzień radosnej strzelaniny nadejdzie tak wcześnie, 18 kwietnia po raz trzeci jeździli samochodami po amunicję, po raz trzeci zbliżali się do punktu, w którym zostawili swoich, aby razem z nimi ruszyć znowu do przodu. Zobaczyli, że pali się las, dym niesie się na dalsze jego połacie. Kierowca nagle hamuje, wóz przednim kołem zawisa nad rowem. Rozlega się zdradziecka strzelanina, zruszone skrzynki z amunicją walą się na głowę konwojenta.

Potem starszy sierżant rezerwy pamięta powrót do przytomności, uczucie jakby połamanego karku, potłuczonej głowy, upływ krwi z lewej nogi. Własny los po otrzymaniu lekarskiej pomocy na jakiś czas go nie przejmował, był w nim obraz tego, co ujrzał we wspomnianych już Klitten. Zabici towarzysze broni, połamane orzełki na oprószonych ziemią czapkach, wydłubane oczy, powybijane zęby, zmasakrowane twarze. Pamięta uroczysty pogrzeb, wspomina niemożliwość natychmiastowej zemsty i odwetu. I jeszcze widzi polową kuchnię. Głodny był, ale jeść nie potrafił przez wiele dni, również kolegom rosło w gębach żarcie, gdyż klitteneński obraz wciąż ich nie opuszczał. I jeszcze mówi mi o Niemcach, którzy wysyłali nieświadome niczego, ale głodne dzieci z miskami do tej polskiej kuchni, na którą wśród Polaków nie było amatorów. I dawali tym dzieciom zupę, kroili dla nich mięso, rozdawali bochny chleba. Dopóki patrzyli na te dzieci, rozluźniały się ręce na karabinach, a gdy spostrzegli starszych Niemców, zaciskały się znowu, ale był zakaz, bo nikt z całą pewnością nie wiedział, czyim dziełem było odkryte tylko pół metra pod ziemią bestialstwo.

Wówczas, gdy pokonywał w sobie nieustanny ból w głowie, kiedy powłóczył jeszcze nogą, a szkorbut gryzł mu dziąsła, nie pozwolił się odtransportować do szpitala na odległym zapleczu. I dlatego doczekał tej wielkiej, radosnej bezładnej strzelaniny. Doczekał salutu, po którym weseli byli ci z gwiazdami i orzełkami na czapkach, ci, którym otworzono wrota obozów lub zwykłe bauerskie furtki, by wyzwolić z przymusowej pracy. Widział resztki pułków hitlerowskich prowadzonych w niewolę, i ludność niemiecką, która chodziła ze zwieszonymi głowami i pokornie wysyłała dzieci po żywność. Widział także płacz na twarzach i sam się rozpłakał. Inne były jednak łzy u tych, którzy tu przymasze-

Z PARTERU

Ireneusz J. Kamiński

pora, koczują setki mężczyzn i kobiet, zaopatrzone w kosze z winem i piwem. Godzinami tak biesiadują. A imieniny w zakładach pracy opija się zupełnie legalnie, co ja mówię — oficjalnie. Jak nie ma akurat szefa, to z solenizantem pije jego sekretarka. Wielkie lodówki w instytucjach i fabrykach zawsze są pełne alkoholu.

Mechanik samochodowy, lat 50, rodowity Niemiec mieszkający swego czasu w Gdańsku: — Piją nawet przy tokarni. Jedną ręką trzyma taki pokrętło, a drugą butelkę. I to jest zupełnie normalne, nikt nie ma tego za złe. Zresztą samochód można prowadzić po dwóch piwach.

Księgowa z przedsiębiorstwa handlowego w Düsseldorfie, lat 40, w RFN od 1958 roku: — Pewien mój daleki znajomy przepił w trzy noce w burdelu 27 tysięcy marek, należących do instytucji, w której pracował. Za taką sumę można kupić luksusowego mercedesa i jakiego takiego volkswagena. Nie, do paki go nie posadzili, po co zaraz sadzać. Najpierw to on musi zwrócić pieniądze swojej instytucji, która nadal go zatrudnia — odciągając miesięcznie z pensji po 500 marek. To bardzo dobry zwyczaj, wprowadźcie go u siebie.

Polacy z RFN często odwiedzają Kraj. W zdecydowanej większości są to członkowie „Zgody", która pierwsza z organizacji polonijnych zainicjowała regularne kontakty z PRL. Wielu z nich rokrocznie bywa w Poznańskiem, Kieleckiem czy na Śląsku, odwiedzając przy okazji Warszawę, Kraków i Częstochowę. Zazwyczaj wizytują rodziny, stykając się tym samym z naszą codziennością. Jak już wspomniałem, autentyczny sentyment do Polski nie przesłania im naszych niedomagań i braków. Więc mówią wprost o tych sprawach — ze smutkiem i irytacją. Oto kilka uwag i opinii, które usłyszałem w trakcie zebrania Koła Kobiet w Essen.

— W kraju ludzie nie szanują mienia społecznego, niszczą np. klatki schodowe.

— W Polsce żyje się wesoło, już przed południem kawiarnie są przepełnione. Nas na to nie stać. Ale kto za tych ludzi pracuje?

— W warszawskim sklepie przy ulicy Jagiellońskiej widziałam na własne oczy, jak jakiś kolejarz kupił 25 kg kiełbasy. Gdyby miał nawet liczną rodzinę, to i tak część tej wędliny zepsuje się i zostanie wyrzucona na śmietnik.

— A ja widziałam, jak w sklepie wiejskim chłop kupił 5 cetnarów cukru. Co on z tym zrobił? Chyba bimber pędził...

— Niektórzy ludzie w kraju wyobrażają sobie, że u nas to jest rajskie życie. A przecież my ciężko pracujemy i wszystko liczymy. Zdziwiliby się rodacy, gdyby przed sklepem z tzw. okazyjną sprzedażą mięsa zobaczyli 100-osobową kolejkę!

— Moi krewni z Olsztyna stale proszą mnie o niemieckie lekarstwa i nie wierzą, kiedy mówię, że polskie są równie dobre, a przy tym tańsze. Tymczasem prawdą jest, że np. buteleczka „złotych kropli" na serce kosztuje w RFN pięć razy drożej, niż w Polsce.

— Nie podoba mi się budownictwo w kraju. Mieszkania są małe i pełne usterek. W Legionowie to nawet postawiono dom bez balkonów, ale z drzwiami prowadzącymi w niebo. Dopiero jak jakiś facet wyleciał przez nie na ziemię, zainstalowano barierki ochronne.

— Za pobyt w kraju płaci się sporo, nie zawsze otrzymując to, co się należy turyście. W ubiegłym roku w Lubniewicach ulokowano naszą wycieczkę w zimnych pokojach, posadowiono przy zakurzonych stołach, pojąc na koniec herbatą z poobtłukiwanych filiżanek. A każda z nas zapłaciła za te przyjemności po 400 marek.

— Znałam młodego dyrektora PGR-u, który był na tyle przyzwoity i prostolinijny, że nie stawiał kontrolerom ze zjednoczenia kolacji i nie wręczał tłustych podarunków. Po kilku miesiącach zleciał ze stanowiska.

— Słabo u was z informacją, lepiej — z biurokracją. Stało się, że podczas wycieczki do Polski zmarł nagle mój mąż. Najpierw za transport zwłok do granicy żądano zapłaty w markach, potem, kiedy po licznych telefonach okazało się, że złotówka też poniesie nieboszczyka, zapomniano poinformować mnie o istnieniu w Poznaniu krematorium...

— Drażni mnie polska wrażliwość na świecidełka z Zachodu. Jeżdżę często do kraju, taszcząc z sobą jakieś łachy, które krewni przyjmują, jak ósmy cud świata. Dopiero po pewnym czasie przekonałam się, że kieruje nimi jakaś chorobliwa zachłanność na to, co zachodnie. Bo są przecież zamożniejsi ode mnie, budują się, wystawiają przyjęcia na 30 i więcej osób, na co nigdy nie mogłabym sobie pozwolić... Dużo złej roboty w tym względzie robią ci, którzy wyjechawszy z Polski w ramach łączenia rodzin, odwiedzają teraz krewnych na Śląsku, imponując im samochodami i walizami pełnymi taniej odzieży. Nikt z nich nie wie, że aby kupić te auta i inne rzeczy gość z RFN zadłużył się po uszy u znajomych i w różnych kasach pożyczkowych. Udało mu się błysnąć, ale długo będzie za to płacił.

Polonia widzi ostro. Ale kiedy pytałem o ogólną ocenę naszej sytuacji, niemal wszyscy moi rozmówcy odpowiadali tak, jak Stanisław Stoba, były podoficer w oddziałach generała Sosabowskiego, który po wojnie 12 lat pracował w kopalni, 18 lat kierował autokarem turystycznym, a obecnie jest kierowcą w hucie Thyssena w Duisburgu:

— Trzy razy w roku bywam w Polsce i powiem krótko: w stosunku do przedwojnia życie w kraju polepszyło się o 100 procent. Mam tylko jeden cel — wrócić na stałe tam, gdzie się urodziłem. Ten Zachód nie jest wcale „złoty..." tu trzeba wszystko liczyć. Ja zarabiam 1400 marek miesięcznie i muszę jeszcze dorobić na boku.

A więc wszystko jasne? Niezupełnie. Bo jak powiedział Stanisław Michalski, prezes jednej z gromad „Zgody" w Duisburgu, członek Rady Związkowej tej organizacji, człowiek urodzony w Niemczech w 1925 roku: „Tylko ja przyznaję się w firmie do polskości i bronię dobrego imienia naszego kraju. Wczoraj na zabawie spotkałem znajomego murarza, który dopiero w takich okolicznościach zwierzył mi się, że także jest Polakiem."

Michalski, syn działaczy Związku Polaków w Niemczech ,ceniony mistrz budowlany — żonę znalazł kilka lat temu w Łodzi. Pani Danuta, znakomita zresztą gospodyni i przystojna kobieta, urodziła mu wkrótce zdrowego chłopaka. Siedmioletni Tomasz mówi i rozumie po polsku. „Jak dorośnie, też będzie mówił naszym językiem", ucięła pani Danuta, przeczuwając moje pytanie, które w naturalny sposób kończyłoby moją mowę na stosowny temat.

NOTUJEMY

W ODDZIALE Miejskim Stowarzyszenia PAX w Lublinie odbyło się spotkanie czytelników z pisarzami warszawskiego Klubu „Krąg". Wystąpili: Jan Dobraczyński i Włodzimierz Wnuk oraz doc. dr Maria Jasińska-Wojtkowska z KUL. Ponadto w województwach chełmskim, białskim, lubelskim i zamojskim odbyły się spotkania autorskie członków „Kręgu". Oprócz wyżej wymienionych pisarzy wzięli w nich udział: Zbigniew Irzyk, Barbara Kazimierczyk, Zygmunt Lichniak, Alfred Łaszowski, Zdzisław Łaczkowski, Zdzisław Pietras, Mikołaj Rostworowski, Aleksander Rymkiewicz, Tadeusz Szafrański i Józef Szczawiński. Przedstawiciele wspomnianej grupy „Krąg" przyjęci zostali przez sekretarza KW PZPR w Lublinie Ewę Krajewską.

■

ROZSTRZYGNIĘTO drugi konkurs literacki „O nagrodę Lubelskiego Koziołka" przeznaczony dla młodych pisarzy całego kraju. Nadesłano 31 zestawów poezji i 20 utworów prozatorskich. Jury było reprezentatywne, bowiem w jego skład wchodzili: Tadeusz Nowak jako przewodniczący, Marian Grześczak i Marian Pilot, a ponadto Stanisław J. Krucz i Bogusław Wróblewski. W dziale poezji nagroda przypadła Krzysztofowi Paczuskiemu, druga Annie Borkowskiej, trzecie: Waldemarowi Chudybie - Żelaznemu, Kazimierzowi Smalcudze, Annie Waszczuk - Listowskiej i Cezaremu Listowskiemu, a wyróżnienia: Wiesławowi A. Kałabunowi, Urszuli Jaros, Waldemarowi Michalskiemu i Stanisławowi Sadurskiemu. W dziale prozy jury nie znalazło podstawy przyznania pierwszej i drugiej nagrody, natomiast trzecie otrzymali: Lidia Steć, Zbigniew W. Frongek i Marek Jezierski, a wyróżnienia: Jan Brylkowski, Piotr Grauman, Andrzej Łuczeńczyk (dwukrotnie) i Zbigniew Mazurek. Większość laureatów publikowała swoje utwory na łamach naszego pisma, więc tym serdeczniej gratulujemy.

■

WOJEWÓDZKA Biblioteka Publiczna im. H. Łopacińskiego i Zarząd Stowarzyszenia Bibliotekarzy Polskich w Lublinie zorganizowały sesję z okazji pięćdziesięciolecia Biblioteki Narodowej. Prof. dr hab. Witold Stankiewicz, doc. dr hab. Paulina Buchwald-Pelcowa, doc. dr hab. Janusz Ankudowicz, doc. dr Radosław Cybulski i mgr Czesław Wrzesień w swoich referatach przedstawili dorobek tej zasłużonej dla literatury i polskiej kultury placówki, stare druki w jej zbiorach specjalnych, perspektywy badań czytelniczych w oparciu o dociekania empiryczne, rolę i zadania Instytutu Bibliograficznego oraz stan prac nad automatyzacją w Bibliotece Narodowej.

■

CZŁONKOWIE lubelskich Oddziałów Związku Literatów Polskich i Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich w „Dniach Kultury, Oświaty, Książki i Prasy" odbyli kilkadziesiąt spotkań z czytelnikami środkowo-wschodniego makroregionu.

JAS.

---

rowali, inne u tamtych co niepewni swojego losu przeżywali w tej samej chwili klęskę faszystowskich Niemiec. Oberda sycił się tym widokiem i pielęgnował w sobie pewność, że nigdy już coś podobnego powtórzyć się nie może. Jednak jeszcze do lutego czterdziestego siódmego roku pozostawał w mundurze, bo był potrzebny. Przywiózł do zamojskiego domu ojca odznakę grunwaldzką, medale „Za Odrę, Nysę i Bałtyk", „Za Pobiedu", Krajowej Rady Narodowej.

— Świat nie jest dobrze urządzony — stwierdza Oberda i zamyśla się, nie tłumacząc wcale, co ma na myśli, widać jest przekonany, że wiem, o co mu chodzi.

Dopiero potem pojmuję w czym rzecz. Pan Franciszek wspomina swojego ojca, który był murarzem, i pięciu braci, z których jedni zostali także murarzami, inni w różny sposób się zatrudniali. Dopiero po wojnie o pracę było łatwiej. On sam wyuczył się na zegarmistrza, ale nie było go stać na założenie warsztatu, a po powrocie z wojska, gdy osiadł w końcu w Lublinie, również nie zdecydował się na wykonywanie swojego zawodu. Dopiero po przejściu na rentę zaczął dłubać w zegarkach i dłubie jeszcze, tylko że wzrok się pogorszył. Klientów mało, ale podatkiem obciążony nie jest, trochę ma emerytury, córki po studiach i wydane dobrze za mąż, więc nie musi przyśpieszać. W tamtych latach robił w starej garbarni, tam gdzie żona Maria. Potem wybrano go do rady zakładowej, pracował też w Związku Zawodowym Pracowników Przemysłu Budowlanego i Materiałów Budowlanych, ale uważa się za robotnika, bo taki był początek, takie były jego związki z ludźmi. Wśród swoich kandydował na radnego do Miejskiej, potem do Wojewódzkiej Rady Narodowej, pamiętają go dobrze w Lubelskim Przedsiębiorstwie Instalacji Przemysłowych. Do partii nie należał, ale kierowano go do trudnej roboty. Najbardziej wtedy, gdy chodziło o obronę pokoju, o podpisywanie Apelu Sztokholmskiego. „Jastrząb" próbował zastraszać naród we Włodawie i okolicy, a on z towarzyszami tam jeździł, rozmijał się z bandą szczęśliwie i do ludzi niósł dobre słowa, ale Maria w domu płakała i strach w człowieku był nie raz, nie dwa. Nie tylko „Jastrząb", nie tylko „Żelazny", ci dwaj bracia Tarasiewiczowie niepokój budzili wielki, sporo było jeszcze grup i grupek, które nie pogodziły się z odmianą ustroju. W tym właśnie czasie zamordowano Ludwika Czugałę; później wszystko zaczęło przycichać, ale przeciwność u wielu została długo.

— Tylko że w sprawie pokoju, w sprawie sztokholmskiego apelu zrozumienie było wielkie, podpisów przybywało dziesiątki tysięcy. Tu, w Lublinie, na Ponigwodzie i Sierakowszczyźnie (gdzie teraz dzielnica Kalinowszczyzna) i w odległych powiatach, do których go wysyłano — były osiągnięcia. Praca mozolna, ale dawała radość. Człowiek w domu gościł, bo praca w fabryce i w radzie, bo dla miasta i województwa trzeba było się przyłożyć i nie bać się odległości. Jednostki zdanie miały inne, ale wtedy cały naród był poruszony obawą przed bombą atomową, wojną w Korei, sprawą paktu pokoju między pięciu mocarstwami, tym, co działo się w Indochinach. Profesor Brzęk lektorami się zajmował i nie skąpił czasu, a ja, człowiek mały i zwykły, ja robiłem to, co mi kazali. Zbierać rzeczy dla Koreańczyków — zbierałem. Pakować do wysyłki, pakowałem z kolegami na Majdanku popołudniami i nocami, w niedziele przy tym robiłem, bo każdy z nas wiedział, czym jest wojna, i cieszył się, że chociaż u nas spokojnie. Bóle w głowie mi ją przypominały i przypominają do dziś.

Za zbieranie podpisów nie czekał Oberda nagrody, ale przyszła sama w postaci Srebrnego Krzyża Zasługi. I potem, po latach, profesor zapragnął, żeby go znowu przypomnieć, dać coś większego, ale przyszedł na zwiady jakiś urzędnik z Miejskiej Rady, zobaczył, że rzemieślnik, że pincetą grzebie w zegarku, niewiele pytał, szybko odszedł i była cisza. Nie spodziewał się pan Franciszek niczego, ale przykro, że tak powierzchownie ludzie osądzają innych. Takiego zaangażowania, jakie wtedy było w ludziach, jest jego zdaniem za mało dzisiaj.

— U nas wojna, to delikatny temat, u nas nikomu jednak nie trzeba tłumaczyć czym ona jest. Teraz ludzie uchwalają sprzeciw bombie neutronowej, ale czują się mimo to bezpieczniejsi niż wtedy. To i dobrze, że są pewniejsi, bo siła jest po naszej stronie.

— Czemu te akta wszystkie gdzieś poginęły?! — oburza się Oberda. — Przemielona pewnie została nasza praca wraz ze starym papierem, zaginęły nazwiska, a pamięć moja jest już licha. Pamiętam, w Puławach działał Józef Trześniak, w Radzyniu Podlaskim — Jan Walczuk, w Łukowie — Stanisław Kosut, w Kraśniku — sędzia Sobieraj, a u nas w Lublinie oprócz profesora Gabriela Brzęka i magistra Dmowskiego przypomina mi się sędzia Zajączkowski, księża Zalewski i Michalski, Augustyniak z powiatowej rady, Danuta Mordoń z „Samopomocy Chłopskiej". No, inne nazwiska zginęły mi, bo to były dziesiątki i setki, a każdy miał trójkę chętnych, albo i więcej, zależy, co mu przypadło robić, za co odpowiadał. Potem przycichło, bo już pokój był pewniejszy, a jeszcze później zostałem wdowcem i te małe dzieci w domu. Mniej się już udzielałem, aż był koniec ze wszystkim, bo już inni byli, co zastąpili. I tak to szło. Biednie było, ale wychowywałem te moje córki, do matury prowadziłem. Elżbieta jest magistrem inżynierem rolnictwa, jak i jej mąż, i oboje pracują w zamojskim Urzędzie Wojewódzkim; mam od niej dwie wnuczki. Alicja jest inżynierem i pracuje w Lubelskim Przedsiębiorstwie Budownictwa Przemysłowego, męża ma kolegę ze studiów. Od nich mam znowu wnuczkę Agnieszkę. Jeszcze wnuka mi czekać, żeby pełna radość była. Największa dotąd radość była, kiedy Alicja przyniosła dyplom inżynierski z WSI. Ojej, jakie to było święto, aż mówić nie mogłem, bo wiedziałem że cel mój się spełnił. Córki i zięciowie dawno by chcieli, żebym do nich się sprowadził, ale dopóki daje sobie radę, to wolę odwiedzać, by każdy swoje szczęście najlepiej przeżywał sam, tak i ja z daleka wolę się cieszyć z tego, czego Maria nie doczekała.

— Może i nie jest tak, jak mówiłem na początku — Franciszek Oberda zastanawia się i badawczo patrzy na mnie, jakby czekał potwierdzenia. — Może nie wszyscy ludzie myślą o tym dorabianiu tylko? Słyszę nieraz, że się poświęcają jak dawniej, że niektórzy robią więcej, niż im jest nakazane. To chyba nie jest tak źle, jak to się wydaje, kiedy patrzeć po wierzchu?

Tadeusz Jasiński

MATYLDA WEŁNA

KOCIRPA

Zbryzgane mlekiem czeremch jak cielęta wioski
młyny najczystszej mąki daleko i blisko
słońce wyciera barwy zadymione pyłkiem
raz spienia brzózki siarą raz ćmi nad olszynką

wloką się drogami w triurniurach czeremchy
od strojów aż garbate mdlejąc rozsypują skarby
lecą lecą pajączki haftów miecielica duje
na skrzydłach wiatru międli welony woalki

biją czuby-pampuchy śród łóz wierzb sośniny
ustały czeremchy w godach nieskalane na piędź
tych stogów krochmalu na podwórzu stryjny
nie prześcignie w bieli najsurowszy łabędź

w jakich schówkach dłubanych o czeremchy wonne
pielęgnujecie pod ziemią swe marszczone halki
są wciąż jak spod igły choć prastare wzory
a czystość frywolitek ślepi bez mydła i pralki

MLECZE

W królestwie mleczy wysyp tak olbrzymi
że owad się gubi w żółtym oceanie
wiotkie i bujne niemożliwie gęste
tylko się ruszysz zaraz stąpniesz na nie

pasieka spojona pierzgą ubabrana
zaciąg wezbrany skroś ogrodu wlecze
pienistą zieleń koniczyn i rowów
roznoszą gwiazdy — mlecze mlecze mlecze

ich listki rozpowite w nieskończone wzory
niedościgły zamysł natury zwiastują
strzechy wyczulone cień zatula szczelnie
krople rosy listkom zatoczki szlifują

mlecze mlecze mlecze ciulane słoneczka
rozprysły się z torby pielgrzyma dziurawej
pielgrzym — czas żółtość — wieków ulubiona steczka
życie nią wybiega wyhasać się w trawie

ZIELONA TĘCZA

Wsi mojej zielona tęcza
moren moich pasiak
odpustowe kramy czerwca
świętuje kto nasiał

zieleń się odmienia bystra
u lipach w sadzie i łące
pali się zielona iskra
w lesie wolt tysiącem

niedościgła zieleń śmiga
u salacie szczypiorku
w polu kręci się jak fryga
i pachnie machorką

na przydrożkach kuma siada
w zagajnikach grzeje
kukułka z nią rada gada
wiaterek obwieje

oblicze ma urodziwe
niczym pąk maluchy
co dzień deszczyk ją obmywa
ptak szepce do ucha

hasa zieleń wieloraka
w poszóstnych spódnicach
tnie tęgiego parobczaka
czerwiec pijanica

tany w klonie tany w brzozie
tany na furmance
aż zdyszana zieleń może
uśnie w macierzance

CHLEB

Dokąd te żyta idą
dokąd się spieszy rzesza
rozwija wiatr kolumny
i zaraz szyki miesza

rynsztunek żyt zwyczajny
od wieków szlifowany
kolczuga przykurzona
i hełm oksydowany

rycerz się za rycerzem
na palce wspina w rzędzie
i świeci zbroją w słońcu
i blasku coraz więcej

a kiedy do natarcia
znak poda ktoś zuchwały
faluje armia chleba
wznosi się tuman biały

Fot. M. Stankiewicz

Z okazji Międzynarodowego Dnia Dziecka drukujemy wiersze 10-letniej(!) lublinianki

Elżbieta Podleśna

Poezja

Gdyby tak wziąć
Purpurowe zorze,
Pełnię księżyca,
Wielkie morze,
Wczesny świt,
Śpiew skowronka,
Falującą łąkę,
Zapach róży,
Dąb duży,
Kroplę łzy słonej,
Pęk farzebiny czerwonej,
Lot orła nad ziemią,
Chwilę przykrą i przyjemną,
Promień słońca,
Powstanie to,
Co nie ma końca,
Powstanie poezja.

Malarz

Słońce maluje kwiaty na łące
Przyglądając się ptaszęt zabawie,
Świeżą zieleń odnawia trawie.
Maluje chmurki na biało...

Co?
Jak na malarza — to mało.

A więc...

Maluje tęczę z siedmiu kolorów,
Maluje śliczny koniec wieczorów,
Przemalowuje na radość — smutki
Nawet w piosence maluje nutki.

Jeszcze maluje każdy dzionek,
Trele, które śpiewa skowronek,
Maluje twarze wszystkich dzieci
Słońce maluje i jasno świeci.

Moja ulica

Moja ulica, skromna ulica,
Zwykła ulica Narutowicza.
Po niej jeździłam swoim wózeczkiem
Gdy byłam jeszcze malutkiem
dzieckiem
Szare podwórko
Chociaż niemałe,
Obok boisko
Trawy kawałek.
Gdyby nie było tych smutnych cieni,
Gdyby tu było dużo zieleni,
Jakże inaczej by wyglądało
Nasze podwórko szare, niemałe.
Moja ulica.
Moje podwórko.
Mojej ulicy
Ja jestem córką.
Gdy dorośniemy, gdy wyrośniemy,
Naszą ulicę przebudujemy
Ja swymi wierszami,
Ogrodnik kwiatami, drzewami,
Murarz murami ozdobnymi
Które wyrosną na tej ziemi.
Ty pędzlem, który trzymasz
w ręku,
A dzieci śmiechem i piosenką.
Wszyscy, którzy ulicę naszą
cenią,
Do jej rozkwitu się przyczynią.

Komentuje Jan Ciszewski

Krzysztof Woch

JEGO ojciec był prezesem jednego z najstarszych klubów w Europie: Klubu Motocyklowego Zagłębia Dąbrowskiego. W Sosnowcu — rodzinnym mieście — próbował swoich sił na czarnym torze. Zanim jednak do tego doszło, jako dziesięcioletni chłopiec uległ groźnemu wypadkowi motocyklowemu, czego efektem były cztery lata spędzone w szpitalu i — niestety — krótsza noga. Nie załamał się jednak, chciał udowodnić, że mimo wszystko potrafi jeździć na torze nie gorzej od innych. Okazało się to jednak niemożliwe.

Koledzy zaproponowali mu, aby spróbował spiker ki na zawodach żużlowych. Przyjął ofertę. I tak trwało to cztery lata. Jako dwudziestotrzyletni chłopak miał już na koncie wiele poważnych imprez. Na jednej z nich, w Łodzi, dostrzegł go Mieczysław Kofta, szef katowickiego radia. Od tego momentu zaczęła się wielka przygoda Jana Ciszewskiego z radiem, a potem — telewizją.

Pod okiem nieżyjącego już, znakomitego sprawozdawcy sportowego, Witolda Dobrowolskiego, zdobywał pierwsze doświadczenia w nowej pracy. W 1952 roku Kofta powierzył mu transmisję z międzypaństwowego piłkarskiego meczu Polska—Czechosłowacja we Wrocławiu. Był to jego radiowy debiut i pewnie dlatego rezultat spotkania (1:1) wymienia po 26 latach bez chwili namysłu.

Od tamtego czasu było tych transmisji dużo, bardzo dużo. Najpierw, przez dziesięć lat, radiowych, a potem telewizyjnych. Jan Ciszewski towarzyszył m.in. polskim piłkarzom w dniach największych ich triumfów i największych upadków. Któż nie pamięta dziś dramatycznych spotkań Górnika Zabrze (niegdyś wspaniałej drużyny, obecnie drugoligowca!) z AS Roma, tych szaleńczych dogrywek i radosnego krzyku przemoczonego do suchej nitki sprawozdawcy: „sprawiedliwości stało się zadość..." Któż nie pamięta wydarzeń na londyńskim stadionie Wembley, skąd wzruszonym głosem Ciszewski obwieszczał wszem i wobec, że my, Polacy, wyeliminowaliśmy sławetnych Anglików?

Dziś komentuje wszystkie ważniejsze międzynarodowe mecze. Swoją osobowością sprawia, że słabiutki aktualnie polski żużel nabiera siły i blasku. Potrafi z kiepskiego meczu „zrobić" dobre widowisko. I chyba nie imponuje mu popularność, z której przejawami spotyka się na każdym kroku. Nie denerwuje się, gdy na ulicy tatusiowie wskazują go palcami i mówią swym latoroślom: „popatrzcie dzieci, to jest właśnie Ciszewski z telewizji, ten od piłki nożnej..."

•

Gdy zjawiłem się w „Studio Sport" przy ul. Woronicza 17, Ciszewski był zdenerwowany, co chwila odbierał telefony.

— Można oszaleć od tych telefonów. Ledwo odłożę słuchawkę, już brzęczy. Hopfer ogłosił konkurs na piosenkę „Mundial 78" Widzi pan: telegramy, stos telegramów, listów z tekstami Ludzie przysyłają, chcą wygrać konkurs, a nam głowy puchną od tego wszystkiego, od błędów, kiepskich rymów... Dziś mam mecz, a tu jeszcze tyle spraw do załatwienia... Trzeba zdobyć dla pana bilet. Chciał pan przecież przyjrzeć się mojej pracy z bliska.

Gdy Ciszewski wychodzi po bilet, ze Stefanem Rzeszotem rozmawiamy o reprezentacji. Zgadza się, że piłka nożna nie jest w najlepszym punkcie, że dużo jej brakuje do tej z Monachium. Liczymy obaj, ilu piłkarzy z kadry Górskiego jest w jedenastce Gmocha na meczu z Bułgarią. Okazuje się, że pierwsze drużyny są niemal identyczne.

— W całej redakcji nie ma jednego biletu. Co za porządek!

— Czy zawsze wyglądają tak przygotowania do meczu? — pytam.

— No, tego nie powiedziałem. Dziś jest wyjątkowy mętlik. Nie można się połapać w tych telefonach, ciągłej bieganinie; a to do magnetowidów, a to do montowni. Przy tym wszystkim człowiek ma na głowie masę swoich prywatnych spraw, z których nikt nie wyręczy. Mieszkanie jest najpilniejsze, bo przecież można zbankrutować dojeżdżając codziennie 25 km do pracy... Proszę spojrzeć na te szafy zawalone teczkami i papierzyskami. W lewej leży dokumentacja, z której korzystają koledzy Mrzygłód i Rzeszot, a w prawej — dane dotyczące piłkarzy i wszystkiego tego, co jest związane z klubami, stadionami. Poza tym każdy z nas ma własne archiwum. Największe posiada Rzeszot. Mieszkanie również. Kiedy potrzebne są jakieś dane, wystarczy odszukać odpowiedni materiał.

— Proszę wymienić kraje, w których pan jeszcze nie był?

— Krócej będzie, jeśli wymienię te, w których byłem. Jest ich niewiele: w Europie, Ameryce Południowej. W kilku z nich byłem kilka razy.

— Obserwuje pan od wielu lat piłkarską reprezentację Polski. Co mógłby pan powiedzieć o naszych piłkarzach w przededniu Mistrzostw Świata w Argentynie?

— Uważam, że koncepcja, jaką obrał trener Gmoch, jest słuszna i powinna doprowadzić nas do sukcesów nie mniejszych od monachijskich. Trzy tygodnie to wprawdzie niewiele, ale wystarczająco dużo, aby wszelkie niedociągnięcia w grze zawodników wyeliminować. Mam nadzieję, że najwyższa forma przyjdzie we właściwym czasie.

Fot. Krzysztof Woch

— Którego spośród występujących w ostatnich latach w polskiej reprezentacji piłkarza uważa pan za najlepszego?

— Na miano takie zasłużył sobie Włodek Lubański. Szkoda tylko, że z powodu kontuzji odniesionych w pamiętnym meczu z Anglią nie występował przez dłuższy okres w kadrze która w tym czasie święciła największe triumfy. Nie trzeba chyba przypominać, że w tych sukcesach był ogromny udział Lubańskiego.

— Kibice piłkarscy mówią o panu m. in.: „wrażliwy komentator". Czy pan się z tym zgadza i czy komentator może sobie pozwolić na łzy?

— Nie widzę w swoich reakcjach nic niezwykłego. Na porażki i sukcesy reaguję tak, jak wszyscy. Owszem, raz chyba na Wembley spociły mi się oczy, ale czy komentator jest z drewna? Najważniejsze, aby były to łzy prawdziwe, nie wymuszone w sztuczny sposób.

— Ma pan na koncie setki transmisji. Był pan na wielu stadionach świata. Z jakimi trudnościami spotyka się najczęściej sprawozdawca sportowy?

— Dla wszystkich sprawozdawców prawdziwą zmorą są źle usytuowane kabiny spikerskie. Na wielu stadionach w ogóle ich nie ma. Bardzo często siedzi się wtedy na jakiejś ławce czy nawet murku. Polskie stadiony pod tym względem niczym się nie wyróżniają. Za kilka godzin będzie pan miał możliwość konfrontacji tych słów z rzeczywistością.

•

Kilka godzin później siedzę przy prowizorycznym „stanowisku" sprawozdawczym, usytuowanym tuż nad trybunami honorowymi Stadionu Dziesięciolecia. Na stoliku pulpit z kilkunastoma przyciskami i gałkami. Tuż obok dwie pary słuchawek. Trybuny powoli wypełniają się. Dziś nie będzie komplet. Jest zimno, wieje wiatr. Tylko najbardziej zagorzali kibice przyszli obejrzeć polską reprezentację w test-meczu w ramach przygotowań do Mistrzostw Świata w Argentynie.

Z tunelu wychodzą bułgarscy piłkarze. Zrywają się okiaski. Bułgaria jest groźnym przeciwnikiem i wygrać będzie bardzo trudno, tym bardziej, jeśli się weźmie pod uwagę niedawny mecz z Czechosłowacją w Łodzi. No, ale dziś ma grać jedenastka, na której barkach spocznie prawdopodobnie ciężar walki na argentyńskim piłkarskim „festiwalu".

Zrywa się nagle wielki okrzyk. To wchodzą na murawę polscy zawodnicy. Z daleka poznaję rosłą sylwetkę „syna marnotrawnego" — Jerzego Gorgonia. Jest Lato oraz Lubański.

Za piętnaście minut rozpocznie się transmisja.

— Gdzie jest Ciszewski? — denerwujemy się z technikiem, czuwającym nad sprawnością sprzętu przy stanowisku sprawozdawczym. Zapowiadał, że będzie na stadionie około szesnastej, a tu dochodzi siedemnasta. Obok stanowiska robi się tłok. Młody człowiek ustawia na trójnogu japoński magnetowid „Sony".

Ciszewski zjawia się wreszcie. Powoli, nie spiesząc się, wpisuje zdobyte dopiero co informacje o zawodnikach obydwu drużyn... Dziesiątki par oczu skierowane są w stronę stanowiska sprawozdawczego. Ludzie z dalszych miejsc wyciągają szyje, by przyjrzeć się, jak to pracuje znany im dobrze komentator, który po założeniu słuchawek wygląda zupełnie jak ten.. z ekranu.

— Hallo wóz, słyszycie mnie? Odezwijcie się. Czy macie coś do mnie? Tak, zrozumiałem, za minutę rozpoczynamy.

Po zapowiedzi spikerki Ciszewski tradycyjną „mową" wita telewidzów i podaje na wstępie składy drużyn. Potem hymny narodowe i śpiew ponad pięćdziesięciu tysięcy ludzi. Na stadionie odbiera się to inaczej. Próbuję dołączyć się do gigantycznego chóru.

Ciszewski jest spokojny. Ten człowiek zupełnie się nie denerwuje! Mówi do mikrofonu patrząc raz na boisko, raz na monitor.

— O tu — pomaga sobie palcem — widzą państwo u dołu Bońka. Przed chwilą był u góry ekranu i nagle wyrósł jak spod ziemi w innej części boiska. Podoba nam się Boniek...

Ciszewski słynie z tego, że komentuje bardzo swobodnie, nie trzymając się kurczowo przegranych schematów. Jest bardzo luźny — powiadają niektórzy. I to się ludziom podoba. Ta swoboda, prosty nieskomplikowany język sprawiły, że jest on dziś tak popularny i lubiany.

Kilka lat temu Polskę obiegła wiadomość, że Ciszewski „naraził się" złośliwymi, choć słusznymi uwagami pod adresem pewnego związku i nie będzie już komentował. Zapytany przeze mnie, ile było w tym prawdy, odpowiedział: „Nic mi o tym nie wiadomo". Przyznać muszę, że odpowiedź ta nie rozwiała moich wątpliwości, tym bardziej, że przypominam sobie artykuł w którymś z tygodników o wymownym tytule „Gdzie jest Janek?" ... To moje dumanie kończy się wraz z pierwszą połową meczu.

Jest coraz chłodniej. Ciszewski rozciera dłonie, krzycząc do mikrofonu:

— Hallo wóz, odezwijcie się. Nic was nie słyszę. Cały czas coś szeptaliście, a ja nic z tego nie rozumiem.

Technik kręci gałkami, poprawia przewody, a w słuchawkach tylko szmer. Na monitorze ukazuje się boisko jakby rozjaśnione. To sprawa czułych obiektywów kamer. Przy stanowisku nic niezwykłego się nie dzieje. Rozpoczęła się druga połowa. Człowiek z redakcji pokazuje od czasu do czasu Ciszewskiemu kartkę z jakimś nazwiskiem albo cyfrą.

Zmarznięty na kość z zadowoleniem wysłuchałem końcowego gwizdka. Mistrz podsumowuje mecz i żegna się z telewidzami „tradycyjnym": „do usłyszenia i do zobaczenia".

Spotkania frontowców

Dokończenie ze str. 3

— Tu gdzieś potem mieliśmy kwaterę. Dom na górze płonął, myśmy byli w piwnicy. Tam się nawet rozbieraliśmy, myli, jedli, spali.

— Wody nie było.

— Może i nie było. Goniec, chłopak z Wilna, mocno zaciągający w mowie, miał z osiemnaście lat, on już o to dbał. Nie wiem, jak to robił, zawsze jednak, gdy wracałem z zadania czekał na mnie z wiadrem wody do umycia i czystą koszulą. Złoto nie chłopak.

— Pamiętasz jego nazwisko?

— Nie.

Szkoda, jeszcze jeden — jak wielu — anonimowych żołnierzy z Kołobrzegu.

Noc wykorzystują także sierżant Franciszek Skolimowski i plutonowy Juliusz Reichbach; pierwszy — to szef plutonu gospodarczego w trzecim batalionie siódmego pułku, a drugi — zastępca dowódcy plutonu. Ich dowódca, chorąży Tadeusz Landa, młody pochwiściel znów wyrwał się do Kołobrzegu. Oni dwaj, solidni pilnują gotowania posiłku dla żołnierzy, dostarczenia go na linię, a także — Piotra Kociubińskiego. Ów pomocnik kucharza ma niebywały apetyt. Pewnie by się i nie obraził, gdyby pozostała w kotle połowa jedzenia. On by dał radę... Leżałby później pół dnia pod wozem, jęczał, że umiera, by po tych cierpieniach znów przejawić nieprawdopodobny apetyt.

Już jednak i z ich plutonu gospodarczego wyłuskuje się pojedyńczych, co młodszych żołnierzy. Bój potrzebuje uzupełnienia, sięga się więc po najbliższe.

Sięga po nie i wróg. Tej nocy w Świnoujściu ładuje się na okręty batalion alarmowy „Koll", pierwszy batalion z piątego pułku fortecznego. Płynie na pomoc kołobrzeskiemu garnizonowi, zgodnie z wolą Hitlera, że z Kołobrzegiem „coś trzeba zrobić" — „etwas getan".

Hitlerowcy nie chcieli skorzystać z ciszy, z propozycji kapitulacji. Przeciwnie — myślą o zadaniu ciosu nacierającym.

Alojzy Sroga

Fragment książki przygotowanej dla wydawnictwa MON

Kamena str. 7

Franciszek Lipiński, członek rzeszowskiego oddziału ZLP, obchodzi w tym roku jubileusz 55-lecia pracy twórczej i 80 roku życia.

Franciszek Lipiński

* * *

Odchodzę zwolna w stronę cieni,
w daleką drogę, w mgłę kosmosu.
Nie wiem, czy byłem tylko śnieniem
i coraz słabszym śpiewam głosem.

Czy żyłem, nie wiem, może żyłem,
może niewiedza moja kłamie —
lot moich myśli mnie unosi,
by stanąć przy zamkniętej bramie.

Moja bezsiła ją otworzy
i wejdę w cienie nieznajome
w ten świat nieznany przez nikogo —
jak w oceanie w nim utonę.

KONFRONTACJE MŁODEGO TEATRU

Mirosław Dorecki

POPRZEDNIE lubelskie Konfrontacje Młodego Teatru, które odbyły się jesienią 1976 r., zdawały się wskazywać nie tylko na gorączkowe poszukiwanie przez studenckie teatry nowych dróg i nowych środków wyrazu, ale w dodatku jakby potwierdzały tezę jednego z uczestników dyskusji podsumowującej imprezę, że sens działań podpowiada teatrowi studenckiemu — plastyka. Miało to znajdować potwierdzenie w szeregu spektakli mających charakter „parateatralny". Chodziło przede wszystkim o obecność na Konfrontacjach i wymowę artystyczną takich teatrów jak warszawska „Akademia Ruchu", „Scena Plastyczna KUL", „Ekspozycje", „Pracownia parateatralna" z Gdańska oraz szeregu awangardowych galerii plastycznych, które zostały zaproszone przez organizatorów do przyjazdu do Lublina. Z drugiej strony widać było wyraźne zafascynowanie szeregu zespołów poszukiwaniami światowej awangardy teatralnej, przede wszystkim — Jerzego Grotowskiego.

W bieżącym roku prawie nic nie pozostało z tamtego kształtującego się — czy też może implikowanego przez młodych krytyków plastycznych — trendu. Chociaż i w tym roku, wśród teatrów najsilniej zaznaczających swoją artystyczną obecność, znalazła się „Scena Plastyczna" kierowana przez Leszka Madzika oraz „Akademia Ruchu" z Warszawy. Niemniej jednak, gdyby z nawału propozycji teatralnych przedstawionych w czterech ostatnich dniach kwietnia w Lublinie, wyłuskać to, co najbardziej charakterystyczne dla tegorocznych Konfrontacji — trzeba by było wskazać przede wszystkim na nurt „publicystyczny", na próby samookreślenia się młodego pokolenia we współczesnym społeczeństwie. W tej próbie samookreślenia mieści się i głębokie zaangażowanie w sprawy kraju, i wskazywanie na nieprawidłowości, z jakimi się na co dzień spotykamy, i — wiara w słuszność i celowość sprawy, o jaką wszyscy wspólnie walczymy. Inna rzecz, że jak to czasem bywa, im który teatr plasował się dalej od artystycznej czołówki, tym bardziej „dobitnym" starał się przemawiać głosem i tym bardziej bezkompromisowych używał słów.

Ta rozpiętość w tonie artystycznym, i nie tylko, wynikała bez wątpienia z pewnej określonej formuły Konfrontacji, czy może nawet, ujmując to szerzej, z formuły zastosowanej wobec tegorocznych teatralnych spotkań studenckich, rozpoczynających się START-em, gromadzącym przede wszystkim teatry debiutujące, a kończących się na jesieni w Poznaniu podczas ostatniej fazy 6 Festiwalu Kultury Studentów PRL. W START-cie mogą uczestniczyć te wszystkie debiutujące teatry, które zgłoszą swój akces do imprezy. Nie kwalifikuje ich żadna specjalna komicja. Po prostu teatry takie mają możliwość ogólnopolskiego s t a r t u, zaprezentowania się w szerszym forum i porównania swoich dokonań z dokonaniami innych zespołów. START wyłania dopiero najciekawszych debiutantów, teatry, które wezmą udział w Lubelskich Konfrontacjach Młodego Teatru, mierząc się ze spektaklami, zakwalifikowanymi przez jeżdżącą po kraju komisję artystyczną. W ostatniej chwili, bo na godzinę przed otwarciem Konfrontacji, wprowadzono do ich regulaminu poprawkę — na życzenie kierowników zespołu — o zrezygnowaniu z formy konkursu i powołaniu, na miejsce jury, kilkuosobowej rady programowej. (Na której czele stanął tym razem Jan Paweł Gawlik.) Decyzja chyba jak najbardziej słuszna. Pomijając już fakt, że od dłuższego czasu niektóre teatry studenckie, jak np. „Akademia Ruchu", nawołują do zlikwidowania w ogóle konkursowego charakteru wszystkich spotkań studenckich, co zresztą znalazło w tym roku potwierdzenie w fakcie nieprzystąpienia do „zestawu" konkursowego lubelskiego „Provisorium" oraz „Grupy chwilowej".

Niech ktoś bowiem powie, jakie kryteria stosować przy ocenie tak wielu, tak bardzo różnorodnych propozycji teatralnych, przebiegających w pięciu a może nawet w sześciu różnych płaszczyznach i konwencjach: od kabaretowej składanki i „poezji śpiewanej", po poznański „Teatr 6-go dnia" czy „Scenę plastyczną". Jak porównywać osiągnięcia „Akademii Ruchu" z osiągnięciami artystycznymi rozpoczynającego dopiero działalność „Teatru „a"..." z Wrocławia? Już nie mówiąc o tym, że w czasie Konfrontacji było bardzo dużo imprez, tak dużo teatrów zaproszono do udziału! W ciągu trzech i pół dnia, w sumie 25 imprez! Jeżeli już ktoś zdoła wytrzymać taką nawalnicę teatru, to i tak nie potrafiłby się zmieścić w czasie: cały szereg przedstawień nakładało się... W dodatku dzisiejszy młody teatr nie gustuje w wielkich scenach i obszernych widowniach. Wiele teatrów nie wpuszcza na salę i setki widzów. Jedynie „Akademia Ruchu" uprawiająca swój „teatr miejski", działająca w przestrzeni otwartej — jest tutaj wyjątkiem. Jeżeli więc 400-osobowa grupa uczestników (i obserwatorów Konfrontacji) chce czynnie uczestniczyć w imprezie, zobaczyć, co w ostatnim ok-

Rozmowy z katem

Maria Bechczyc-Rudnicka

NOTKA na „skrzydełku" obwoluty książki „Rozmowy z katem", wydanej przez PIW w r. ub., zawiera następującą informację o autorze: *Kazimierz Moczarski (1907—1975) — prawnik (absolwent UW w r. 1932) dziennikarz, działacz Stronnictwa Demokratycznego, uczestnik konspiracji antyhitlerowskiej* (działający, jak wynika z treści książki, w sztabie KG Armii Krajowej — M.B. — R.).

Otóż w sierpniu 1945 r. Moczarski został aresztowany za rzekome współdziałanie z władzami okupanta w likwidacji działaczy lewicowych — z oskarżenia, którego „bezzasadność, sztuczność i tendencyjność" stwierdził rehabilitujący Kazimierza Moczarskiego wyrok Sądu Wojewódzkiego dla m. st. Warszawy z 1956 r. Ale w tzw. międzyczasie kaprys historii sprawił, że na Oddziale XI Mokotowa, 2 marca 1949 r., żołnierz polskiego podziemia znalazł się w jednej celi z dwoma SS-manami i miał przebywać z nimi aż do 11 listopada tegoż roku. Jednym z nich był Gustaw Schielke, zawodowy podoficer kryminalnej policji obyczajowej w Hanowerze, podczas wojny pracownik archiwum Policji Bezpieczeństwa w Generalnej Guberni, drugi — Jürgen Stroop, b. SS-Gruppenführer i General-Leutnant der Waffen SS, mający na sumieniu tysiące ofiar w kilku krajach Europy, a przede wszystkim kat i likwidator powstania w warszawskim getcie.

225 dni spędzonych przez Kazimierza Moczarskiego w tym niedobranym towarzystwie zaowocowało książką o wyżej wymienionym frapującym tytule, której tekst ukazał się pierwotnie w „Odrze" (od nru 4 r. 1972 do nru 2 r. 1974) i już wtedy spotkał się z nadzwyczaj pochlebną oceną m. in. Kazimierza Wyki.

„Rozmowy z katem" nie dają się zaszufladkować do jednego gatunku piśmiennictwa. Wydaje mi się, że można je uważać zasadniczo za naukową monografię biograficzną, zbeletryzowaną za pomocą dialogowania, w początkowej zaś części (tam, gdzie mowa o dzieciństwie i młodości Jürgena Stroopa) zbliżającą się do formy, którą Francuzi nazywają *vie romancée*. Książka przyniosła podobno dużo nowego materiału faktograficznego z zakresu wszelakich instytucji, organizacji i formacji hitlerowskich. Mówię „podobno", ponieważ nie posiadam kryteriów upoważniających do oceny „Rozmów..." od tej strony. Mnie osobiście przejęły zwłaszcza opisy działań podjętych dla likwidacji getta warszawskiego. I chyba trzeba przyznać, że właśnie te partie książki znalazły najwymowniejszy wyraz w adaptacji scenicznej Zygmunta Hübnera, która po niedawnej prapremierze w warszawskim Teatrze Powszechnym została zrealizowana w lubelskim Teatrze im. J. Osterwy już 30 kwietnia br., w reżyserii Stanisława Bielińskiego.

Moczarski znakomicie uwydatnia tę prawdę, że jedną z największych porażek oprawców getta z punktu widzenia własnych, hitlerowskich interesów *był sam fakt mężnego oporu Żydów. Swą postawą i czynem* — mówi do Stroopa — *zaprzeczyli waszym teoriom. Żydzi pokazali taką dzielność w służbie wartościom ponadosobistym, dla których warto żyć i umierać, że cały wasz ideologiczny antysemityzm rozpadł się w puch.*

I druga porażka ogromnie ważna, do której przyznał się sam Stroop: *Nie udawała nam się propaganda mająca na celu wbicie klina między Żydów i „aryjczyków"! Żydzi mieli poparcie społeczeństwa polskiego i polskiej konspiracji wojskowej.*

Obydwa te wnioski spektakl lubelski przekazał widzowi z całą wyrazistością.

Wiadomą jest rzeczą, że największe straty ponosi na adaptacji scenicznej powieść genialna. Ale nie obchodzi się bez poważnych strat i w przypadku przyspasabiania na scenę dzieł tego rodzaju, do jakiego należą „Rozmowy z katem". Albowiem poza emocjonującymi relacjami o dławieniu powstania w getcie, wybrane dialogi przynoszą przeważnie wykład ideologii Stroopa, której główne tezy są szeroko znane starszym pokoleniom z autopsji, młodszym — chyba z nauki historii.

Oczywiście w momencie, kiedy ludzkość musi się liczyć z możliwością zagrożenia atomowego, kiedy odradzają się wszelkie szowinistyczne organizacje odwetowe, bardzo na czasie jest przypomnienie takich „aforyzmów", jak: *Nakazem działań patriotycznych, narodowych, jest s k u t e c z n o ś ć, a nie tak zwana moralność...* albo: *Wojna jest selekcyjnym zabiegiem biologicznym i psychologicznym, koniecznym dla każdego narodu.* I nade wszystko niezbędne jest przypomnienie całej tej hitlerowskiej, antyhumanitarnej, zbudowanej z bzdur, teorii rasistowskiej. Na pewno poczynania inspirowane przed kilkudziesięciu laty o r d n u n g o w y m myśleniem zaczęły zbyt szybko się „zatuszowywać", trzeba je przeto pilnie „ocalać od zapomnienia". Lecz obawiam się, że inscenizacje posługujące się tzw. literaturą faktu czyli, że tak powiem, animowaną publicystyką, nie spełniają tej roli, jaką może spełnić pełnowartościowa sztuka, przemawiająca nie tylko do rozumu, lecz wywołująca na widowni napięcia emocjonalne (jak to ma miejsce np. w spektaklach „Niemców" Kruczkowskiego).

Tak silnego napięcia w „Rozmowach" z katem" brakuje chyba dlatego, że dialogi polegają w głównej mierze na n a r r a c j i o wydarzeniach już „historycznych", dyskusje zaś, które się toczą w warunkach poprawnej przymusowej koegzystencji, są niejako „wyciszone". A i podchodząc do rzeczy od strony czysto rozumowej, dostrzegam w adaptacji ubytek choćby takiego ważkiego waloru, jak świetnie pokazana w książce Moczarskiego geneza mentalności NSDAP-owskiej.

PIW opatrzył książkę wyśmienitą przedmową Franciszka Ryszki. Program Teatru Osterwy cytuje obszerne jej fragmenty. Chciałabym wszak dołączyć do owych cytat jeszcze jedną. Mówi słusznie prof. F. Ryszka, że nasza historiografia badając wszelkie zbrodnie *wykazuje niekiedy przesadne skłonności, które można by nazwać eksponowaniem „zinstytucjonalizowanej" zbrodni. Piszemy o „zbrodniach aparatu SS i policji", o „zbrodniach korpusu urzędniczego i sędziowskiego", o „zbrodniach Wehrmachtu" itp., zapominając czasem, że wszystkie instytucje były zbiorowościami żywych ludzi. Grozi nam jednak w ten sposób depersonalizacja zbrodni. (...) Człowiek jako kółko w wielkiej maszynerii staje się w naszych oczach bezwolnym przedmiotem napędzanym przez przymus lub siłę autorytetu innych. (...) Podobny nurt rozumowania przyjmowali sami winowajcy. (...) Nie siebie uważali oni za winnych, ale organizacje, czyli tych, co stali na górze...*

Chodzi mi więc o to, by pamiętano, że psychozą hitlerowską była dotknięta olbrzymia większość narodu niemieckiego, że korzenie tkwiły głęboko.

Są epidemie, które się odradzają w różnych punktach naszego globu, zatem każdy, najdrobniejszy nawet zabieg profilaktyczny powinno się cenić. Z tego punktu widzenia kierownictwu Teatru im. J. Osterwy należy się niewątpliwie uznanie za wystawienie „Rozmów z katem".

Stanisław Bieliński (którego ciekawe inscenizacje miałam kiedyś sposobność oglądać za jego dyrekcji w Rzeszowie) zamienił przewidziany w adaptacji pokój prywatny na widownię teatralną. W ten sposób Prolog stał się jakoby spotkaniem autorskim Moczarskiego z czytelnikami. Nienowa wprawdzie, ale ciągle jeszcze atrakcyjna koncepcja usadowienia paru aktorów i statystów pomiędzy widzami, przyniosła na premierze niespodziewanie jedno pytanie „dodatkowe" — autentycznego widza. Nasz doświadczony, utalentowany aktor Piotr Suchora, grający Moczarskiego, wybrnął z zaskoczenia wybornie.

Reprezentował też godnie Moczarskiego w zasadniczej części spektaklu, w celi, prowadząc dialog w tonie człowieka dociekliwego, świadomego powagi rozmów, opanowanego w momentach ryzykownych. Występujący na lubelskiej scenie gościnnie aktor warszaw-

Kamena str. 8

reście zrobili koledzy z teatrów rozsianych po całej Polsce, to musi ona idealnie zsynchronizować sobie plan własnych przedstawień z występami innych teatrów. A co mówić o „zwykłym" widzu? Może w przyszłości warto by pomyśleć o zorganizowaniu na kilka dni przed rozpoczęciem Konfrontacji — jakiejś „imprezy informacyjnej", na której mogłyby się zaprezentować w zwartym „bloku" przynajmniej studenckie teatry lubelskie: (mamy ich przecież aż siedem!) — miejscowej części publiczności.

Lubelskie Konfrontacje Młodego Teatru wydają się być, w swoim obecnym kształcie, imprezą bardzo obszerną. Tak potrzebny i tak bardzo pożądany przez tutejsze środowisko przegląd ruchu artystycznego, jest przecież zarazem interesującym zjawiskiem społecznym i nie powinien zamykać się we własnym kręgu.

Łódzkie Spotkania Teatralne, odbywające się pod koniec maja i wynikające z konfrontacji lubelskich, mogą dać widzowi o wiele więcej satysfakcji po i chyba... możliwości. Biorą w nich udział najciekawsze, najbardziej wartościowe realizacje teatralne wytypowane przez Radę Programową w Lublinie. Poza tym na spotkania do Łodzi zapraszane są teatry zawodowe z przedstawieniami zrealizowanymi przez reżyserów, których poprzednia działalność w teatrze studenckim stanowiła o tym, co kształtowało jego wysoka rangę (myślę tutaj przede wszystkim o Majorze i Cybulskim) Wreszcie czekają nas na jesieni (poza festiwalem w Poznaniu) odbywające się co dwa lata we Wrocławiu międzynarodowe spotkania młodego teatru, noszące w tym roku nazwę Międzynarodowych Spotkań Teatru i Sztuki Otwartej. Impreza, która poza najciekawszymi zespołami polskimi zgromadzi 10 teatrów z całej Europy, będzie przebiegała w trzech fazach. Rozpocznie się ona wspólnym „obozem artystycznym" w Oleśnicy, potem nastąpią dni „działań ulicznych", w czasie których teatry będą realizowały swoje założenia „teatru w przestrzeni otwartej". Wreszcie ostatnim akcentem Spotkań Teatru i Sztuki Otwartej będzie przegląd poszczególnych przedstawień, z jakimi teatry te przyjechały na spotkanie. I będzie to zarazem ostateczne zakończenie tegorocznego studenckiego cyklu teatralnego.

Po obejrzeniu spektakli biorących udział w lubelskich Konfrontacjach Rada Programowa, podkreślając fakt „zaangażowania teatru studenckiego w moralny i ideowy niepokój," zakwalifikowała do udziału w Łódzkich Spotkaniach Teatralnych „Teatr 8-go dnia" z Poznania z przedstawieniem — „Przecena dla wszystkich", „Scenę Plastyczną KUL" z Lublina z „Wilgocią", oraz warszawską „Akademię Ruchu". Ponadto na finał Festiwalu Kultury Studentów PRL w Poznaniu pojadą teatry „Maja", „Jan", oraz „Warszawska Grupa Teatralna". Lublin wypadł na tegorocznych Konfrontacjach dobrze i tutejszym zespołom trzeba życzyć dalszych sukcesów.

Właściwą odpowiedź na temat kształtu współczesnego teatru studenckiego powinny dać ostatecznie Łódzkie Spotkania Teatralne i międzynarodowa konfrontacja młodego teatru we Wrocławiu. Wtedy też chyba warto będzie się zająć szczegółowym omówieniem tego, co prezentują i reprezentują „Akademia Ruchu", „Scena Plastyczna", „Teatr 8-go dnia", bez wątpienia najsilniej zaznaczające swoją obecność w niedawno zakończonych Konfrontacjach.

W tym roku, w wydanym przez Biuro Organizacyjne Konfrontacji „Informatorze", zainteresowani znajdowali rzeczową informację zarówno jeśli chodzi o same zespoły i prezentowane przez nie przedstawienia jak i sprawy organizacyjne, głosy prasy dotyczące poprzednich Konfrontacji itp. Interesujący był zamieszczony w jednym z numerów szkic Grzegorza Dziamskiego — „Czy wszystko zostało przecenione?" Szkoda, że była to jedyna tego rodzaju publikacja... Może by warto nasycić bardziej w przyszłym roku „Informator" krytycznymi, teoretycznymi, publicystycznymi wypowiedziami, nawet sięgając do rzeczy już kiedyś wydrukowanych w różnych wydawnictwach specjalistycznych, ale właśnie dlatego już dzisiaj trudno dostępnych.

W ten sposób „Informator" mógłby stać się dokumentacją tego, co się na Konfrontacjach dzieje i tego, co się o teatrze studenckim w ogóle myśli.

skiego Teatru Współczesnego, Ryszard Barycz, wykorzystał wszystkie atuty, jakie mu daje postać Jürgena Stroopa, poskromionego kata, jeszcze butnego, chełpliwego, niekiedy pozerskiego, kiedy indziej naiwnego, nieraz szczerego — z konieczności.

Trzeci rozmówca, Gustaw Schielke, został odtworzony przez Ludwika Paczyńskiego zgodnie ze szkicem autorskim; jest to SS-owiec mniejszego kalibru, taki sobie, jakby go określili Rosjanie — *stupajka*, po trosze wysługujący się General-Leutnantowi, w dużej mierze zazdroszczący mu dochodów z lat tłustych.

Scenografia Hanny Volmer rozsądnie wstrzemięźliwa, powiedziałabym — taktowna.

W sumie spektakl dobrze zrobiony.

Ryszard Barycz — (Jürgen Stroop), Ludwik Paczyński (Gustaw Schielke) i Piotr Suchora (Kazimierz Moczarski).

Fot. Z. Zugaj

O TEATRZE I TEATRALIACH Z PROF. DR IRENĄ SŁAWIŃSKĄ

Z nazwiskiem profesor dr. Ireny Sławińskiej łączą się ważne dokonania na terenie lubelskiej i nie tylko lubelskiej humanistyki. Wyróżniająca je cecha polega na tym, że liczą się one zarazem w obrębie badań specjalistycznych, jak i w nieprofesjonalnej recepcji społecznej. Badacz i autor — te dwa nastawienia pani profesor łączy w swojej postawie, dzięki czemu czytająca publiczność ma możność zaznajamiania się z wynikami jej prac.

Na rok bieżący przypada czterdziestolecie działalności naukowej pani profesor. Korzystając z tej okazji popresiliśmy ją o rozmowę, w której ze strony naszej redakcji uczestniczył Zygmunt Mikulski.

„KAMENA": — Do zauważenia mam dwie charakterystyczne okoliczności. Pierwsza to ta, że pani profesor nie zamyka swoich prac w obrębie murów choćby najszacowniej uniwersyteckich, ale przywdziewa je w szatę książkową, a nawet czasopiśmiennicza. Jest to rozróżnienie dość istotne, ponieważ pociąga za sobą różnicę stylistyk.

Irena Sławińska: — Rzeczywiście mam na sumieniu grzech w postaci „odchylenia publicystycznego".

„K": — Druga okoliczność polega na tym, że pani naukowe „emploi" to filologia polska i francuska, a główne zainteresowanie skupia pani na teatrze, ściśle: teatrze norwidowskim.

I. S.: — Nie znaczy to że opuściłam całkowicie tamte obszary. A teatr? Pociąga mnie przez to, że jest w pewnym sensie syntezą kilku sztuk, bo na widowisko składa się nie tylko tekst, ale również koncepcja reżyserska, gra aktorska i scenografia. Norwid? To już kwestia mojej predylekcji do tego autora, który zresztą pozostawia jeszcze wiele zagadek swoim interpretatorom. Interesuje mnie od dawna. W kraju zainteresowanie jego twórczością nastąpiło dość późno, mimo że pierwsza norwidowska realizacja, mianowicie sztuki „Krakus", miała miejsce w roku 1908.

„K": — Jeśli się nie mylę, ostatnia przed wojną, w roku 1938. Pamiętam ze względu i na Czechowicza. Horzyca urządził eksperymentalnie wieczór trzech jednoaktówek. Był to Rittner, Czechowicz, a Norwida wystawiono wtedy „Miłość czysta u kąpieli morskich". Ale wróćmy w czasy dzisiejsze: jak pani ocenia obecny stan teatru w Polsce?

I. S.: — W zakresie dramaturgii wymienić należy przede wszystkim Mrożka. Jego „Tango" to utwór trafiający w słoneczny splot zagadnień naszej współczesności. Pisarz demaskatorski, wnikliwy, obdarzony zmysłem ostrej obserwacji, operuje wielkimi syntezami i parabolami. Dramat jego ma szeroką perspektywę filozoficzną.

Ciekawie zapowiadał się Różewicz, ale w końcu rozczarował. Na przykład „Białe małżeństwo" to rzecz nawet nie „pod widza", lecz „pod publikę". A Bryll? To jest „folklor turystyczny". Coś w rodzaju Mazowsza i Śląska na scenie zamiast na estradzie.

Mówiąc o dniu dzisiejszym nie chciałabym pominąć Gombrowicza. Chociaż chronologicznie do dnia dzisiejszego nie należy, trwa jego nacisk na teraźniejszość. Na przykład „Operetka". Przypomnijmy, że jej treść jakby zapowiada ruchy kontestatorskie na Zachodzie. Jeden z marksistowskich krytyków zachodnich, Goldmann, uważa ją wręcz za utwór profetyczny: można by uznać ją za kronikę wydarzeń na uniwersytetach Francji i Ameryki w roku 1968, gdyby nie fakt, że została napisana o dwa lata wcześniej.

„K.": — Mówi się o konflikcie, jaki zachodzi między reżyserem a dramaturgiem. Wynika on z dwu przyczyn. Pierwsza — że reżyser chce „uaktualnić" sztukę wrysowując ją w obce jej realia naszej współczesności, druga — że pragnie ją „na nowo odczytać" wydobywając z niej sensy nie zawsze zawarte w tekstach. Nie mówmy o adaptacjach, które najczęściej są tytułem dla honorariów. Przewaga reżysera nad autorem w teatrze doprowadziła do wysuszenia dramaturgii. Jak pani ocenia ten problem?

I. S.: — Jeżeli autor widzi, że jego tekst staje się tylko pretekstem do prezentacji intencji inscenizatora przestaje tworzyć dla teatru. I słusznie. Powstaje luka repertuarowa, która zapełniają inscenizacje powieści, opowiadań, a nawet reportaży. Również publiczność ma uzasadnioną pretensję o bezceremonialne traktowanie klasyków. W „Balladynie" ludzie zawsze będą woleli widzieć Słowackiego niż Hanuszkiewicza. Nie znaczy to jednak, że wszystkie teatry są obciążone tym grzechem. Z wielkim uznaniem odnoszę się do tego, co robi Hebanowski w Teatrze Wybrzeża: Mickiewicz, Słowacki, Wyspiański, Claudel. Za każdym razem przedstawienia ciekawe, a równocześnie rzetelne, wierne wobec poety, zdolne przekazać całe bogactwo dramatu.

„K.": — A tak zwana awangarda?

I. S.: — Formą przyszłego teatru jest teatr obrzędowy. Już dziś teatr nawiązuje ponownie do gestu, środków pozasłownych, swoistej liturgii, nawet magii, co było zawsze istotą teatru. Istotą jednak zapoznawaną przez eksperyment mający często na celu nie tyle nowe koncepcje stylistyczne, co łatwą popularność. Zarzuty te nie dotyczą teatru Grotowskiego. Operuje on środkami parateatralnymi, wyniklymi z ciągłych poszukiwań formalnych, nowego rodzaju obecności aktora w teatrze. Natomiast młode zespoły studenckie na ogół rozczarowują. Są raczej imitatorskie, zbierają piankę, a często tylko szum z fermentu dokonującego się w obrębie nowych form i tendencji.

„K.": — A jak pani ocenia teatr lubelski?

I. S.: — Jeśli chodzi o stan obecny, za wcześnie na ocenę. Przyznam, że do niedawna należałoby mówić o impasie, ale ten zawsze się zdarza kiedy następuje zmiana założeń programowych. Ostatnia prognoza wypada jednak optymistycznie. Co zaś do moich osobistych gustów widza, jestem gorącą zwolenniczką teatru Andersena. Lalka jest środkiem przekazu treści nie tylko dziecięcych.

„K.": — Przypuszczam, że po „Scenicznym geście poety" i „Reżyserskiej ręce Norwida" opublikowanych przez Wydawnictwo Literackie nie zerwała pani kontaktu z tą placówką. Czy mam rację?

I. S.: — Tak jest. Nakładem tego wydawnictwa wyjdzie moja nowa książka „Współczesna refleksja o teatrze" z podtytułem „Ku antropologii teatru". Mam już jej odbitki korektorskie, przypuszczam, że ukaże się w tym roku. Tu powinien mnie pan spytać o moje kontakty z Wydawnictwem Lubelskim. Otóż nie mam ich wcale. Nigdy nie otrzymałam konkretnej propozycji, jakby nasza placówka edytorska pracami z zakresu teatrologii w ogóle się nie zajmowała.

„K.": — Pani profesor prowadzi na terenie uniwersytetu szereg prac zespołowych. Czy można dowiedzieć się o ich charakterze?

I. S.: — Są to prace o różnej tematyce, dotyczą również dziejów teatru w Lublinie. Opracowaliśmy czasy Morozowicza, Wysockiej, udział Zapolskiej. Obecnie na zlecenie PAN prowadzimy rejestrację teatraliów w prasie lubelskiej na początku XX wieku. Taką kartotekę przekażemy Instytutowi Sztuki w Warszawie. Całe seminarium pracuje obecnie nad dziejami teatru lubelskiego. Opracowujemy to zagadnienie w ten sposób, że KUL obejmuje okres przed wojną, UMCS zaś głównie po wojnie. Dla Wydawnictwa Literackiego przygotowujemy antologię „Mitologia teatralna Młodej Polski", gdzie każdy „mit" będzie przedmiotem odrębnego studium.

„K.": — Na zakończenie jeszcze jedno pytanie. Kiedy zostanie oddany do użytku gmach nowego teatru w Lublinie, jaką sztukę widziałaby pani na jego chrzest?

I. S.: — Ochrzcić go może tylko wielki dramat narodowy. I chyba zgodnie z nazwą coś z repertuaru Juliusza Osterwy.

„K.": — Bardzo dziękuję za rozmowę, a w imieniu redakcji i czytelników naszego pisma życzę najpomyślniejszego zdrowia, które będzie również zdrowiem lubelskiej humanistyki.

LUBLIN: USŁUGI DLA LUDNOŚCI (2)

A potrzeby rosną...

Zdzisław Grzelak

PRZECHODZĄC na tereny o mniejszym nasileniu dolegliwości społecznych powstałych w dziedzinie usług należy zasygnalizować kłopoty w sferze świadczeń: lekarskich, obuwniczych, zegarmistrzowskich, oświatowych, dziewiarskich, pogrzebowych i... matrymonialnych, uszeregowanych kolejno według stopnia negatywnych ocen na skali od 12,9 proc. do 3,2 proc.

Wspominiane już w pierwszym odcinku założenia wyjściowe sondażu — przyjęcie potocznego rozumienia kategorii usług — nastaniają do modyfikacji definicji oficjalnych. W ujęciu uchwały Rady Ministrów (nr 194, z dnia 9 IX 1960) nieodpłatne świadczenia służby zdrowia nie wchodzą w obręb tzw. „usług dla ludności", ponieważ nie spełniają warunku finansowania ich z budżetów indywidualnych obywateli. Usługi lekarskie formalnie nie należą więc do kategorii usług dla ludności. Ale skoro badani wyrażali na ich temat opinie, zdecydowano zgodnie z przyjętymi założeniami nie pomijać tych ocen tym bardziej że, jak stwierdzono, nie często się zdarza okazja, aby publicznie wytknąć ułomności „zamkniętego świata lekarskiego". Oto kontry: zbyt długie wyczekiwanie na specjalistów, lekceważenie pacjentów, wzajemne odsyłanie chorych w nagłych wypadkach przez lekarzy zakładowych i przychodnie rejonowe. Wielu badanych zgłaszało projekt powołania instytucji lekarza domowego. Temat to jednak złożony, trudno go tutaj szerzej rozwijać.

Opisane wyżej różne kategorie usług zaliczone do osobistych wyróżnia między innymi ich względna natarczywość, powtarzalność, warunkująca zadowolenie społeczne różnych grup. Dlatego do tej kategorii zdecydowano zaliczyć także usługi „awaryjne".

Oto jeden z respondentów z osiedla im. Sienkiewicza czekał pięć dni na naprawienie kuchenki, z której ulatniał się gaz. Jego sąsiadka w tej samej dzielnicy, mgr filologii romańskiej, cztery dni borykała się z zepsutą rurą wodociągową. „Przez te dni w pralni stała woda, bielizna gniła, pościel nie schła".

Podobne perypetie przechodzą obywatele, których spotkało „nieszczęście" — wybicie szyby, czy zgubienie klucza. Niektóre z zakładów bądź nie mają szkła, bądź życzą sobie, aby drzwi lub ramę okienną dostarczyć do punktu usługowego! Zgubione klucze dorabia jedyny monopolista w mieście o 300 tysiącach mieszkańców — firma Popiołka przy ul. Krakowskie Przedmieście.

Trudno powiedzieć w jakim stopniu typowa — brak danych porównawczych — konfiguracja potrzeb mieszkańców Lublina w sferze usług osobistych jest refleksem głębszych zmian w postawach, dążeniach i aspiracjach społecznych. Nie sposób tych nowych trendów i tendencji lat 70-tych wyjaśnić bez pomocy teorii społecznych traktujących o ideologicznych aspektach wzrostu dobrobytu materialnego. Niestety, są to głównie zajęcia naukowe oparte o fakty empiryczne niesocjalistycznych kręgów kulturowych, dlatego tak trudno przetłumaczalne w trakcie prób interpretacji naszych problemów. Warto jedynie je zasygnalizować, aby skłonić do poszukiwań oryginalnych, w obrębie bliskich nam wzorów i stylów życia.

Wielu autorów zachodnio-europejskich wyznacza kierunek ewolucji postaw społecznych, krystalizowanych w następstwie wzrostu konsumpcji. Po przekroczeniu „przylądka minimum życiowego" rozpoczyna się etap zaspokajania potrzeb coraz bardziej zróżnicowanych i zindywidualizowanych, a spychanie na plan dalszy pierwotnych i elementarnych.

Niewątpliwie w tej fazie rozwoju znalazły się kręgi osób badanych. Ale jednocześnie kierunek dążeń zbiorowych wyznaczają trudno uchwytne przy pomocy zastosowanych technik czynniki kulturowe, tradycje, zwyczaje i nieujawniane wartości.

Eksponowanie na plan pierwszy usług do niedawna jeszcze traktowanych jako luksusowe: szycie ubrań na miarę, jubilerskich, fryzjerskich i kuśnierskich świadczy o krystalizowaniu się nowych dążeń grup znajdujących się obecnie w stadium ekspansji społecznej i zawodowej. Tezę powyższą ugruntowują fakty, o których będzie mowa niżej.

Rozwój budownictwa mieszkaniowego, wzrastający strumień aparatów i urządzeń instalowanych w mieszkaniu, zrozumiałe w pewnych kręgach dążenie, aby „własny kąt" urządzić zgodnie z indywidualnymi upodobaniami i aby wszystkie udogodnienia cywilizacyjne działały bez zakłóceń, wytworzyły nowe naciski na rynku usług. Co trzeci objęty badaniami natknął się na trudności w sferze usług stolarskich, co czwarty — malarskich, a co dziesiąty — budowlano-remontowych. Bariery stolarskie napotykają osoby, które pasjonuje urządzanie mieszkania w „wymyślny sposób". Stolarze jak gdyby z łaski przyjmują zamówienia na wymiarowy stolik, szafkę, meble dopasowane do wnętrza, selekcjonują klientów, wydłużając okres oczekiwań. Oto fragment wypowiedzi inżyniera rolnictwa: „Chciałem zamówić wersalkę i stół. Z góry zastrzeżono, że mogą zrobić co najmniej za pół roku. Lepiej będzie — odpowiedziano — gdy w ogóle zrezygnuje pani z zamiaru, kupując w sklepie meblowym wersalkę i stół". Niektórzy z rozmówców doświadczając różnych perypetii na rynku stolarskim informowali niemal poufnie o tym, że potrzebne sprzęty „łatwiej zamówić poza miastem, doliczając do tego koszt transportu i tak to taniej wyniesie".

Ludzie starsi, nieraz niżej materialnie uposażeni, sygnalizowali kłopoty z naprawą używanych mebli. Są to operacje nieopłacalne. Złamana noga stołu staje się problemem, bo nie ma jej komu dorobić. Samotnej emerytce, która zwróciła się do pracowni tapicerskiej przy ul. Hanki Sawickiej z przeróbką tapczana, zaproponowano 5-miesięczny termin wyczekiwań, oferując równocześnie wcześniejsze zrobienie nowego.

W tym samym duchu utrzymana jest krytyka usług malarskich i remontowo-budowlanych. Przykład jaskrawy. Malowanie M-4 zlecone dwu malarzom trwało aż 4 tygodnie!

Na tle zarysowanych dążeń ujawniły się nowe dotychczas niespotykane. Ludzie starsi, samotni, schorowani, obciążeni nadmiernie obowiązkami zawodowymi, domagali się zlecanych co jakiś czas usług sprzątania mieszkań. W tym samym nurcie znalazł się postulat sprzątania klatek schodowych. Mieszkańcy LSM i Osiedla im. Kruczkowskiego płacą systematycznie co miesiąc 40 zł od rodziny na rzecz spółdzielni „Higiena", a mimo tego „klatki schodowe nawet raz w miesiącu nie są właściwie sprzątnięte".

Dążenie do urządzenia mieszkania według indywidualnego gustu zbieżne jest z zamiarami wyposażenia własnego lokum w coraz to bardziej skomplikowane aparaty i urządzenia. Ułatwiają one życie człowieka, jednocześnie uzależniają go. Obwoluta cywilizacyjna współczesnego gospodarstwa domowego jest zawiłym systemem technicznym, który wymaga stałej konserwacji, renowacji i naprawy. Zaburzenie jego rytmu wymaga interwencji fachowego personelu. 39 proc. osób, z którymi przeprowadzono rozmowy, skarżyło się na trudności w trakcie zetknięcia się głównie z ZURT-em. Najwięcej kłopotów sprawia naprawa telewizorów. Nieprzestrzeganie terminów, niechęć napraw w domu, na co uskarżają się osoby starsze, windowanie cen w górę („lampa kosztuje 25 zł a usługa 250 zł"), wreszcie wymiana części oryginalnych na używane — oto lista bolączek. Praktyki zamiany części są nader trudne do uchwycenia. Wykształcenie techniczne współczesnej generacji dorosłych nie pozwala na zdemaskowanie machinacji „speców" wymontowywujących z aparatów elementy co bardziej cenne. Operacje te związane są z ryzykiem wkalkulowanym chyba w koszty. W zbiorowości opisywanej znaleziono dwa takie przypadki. Ponieważ zakładamy, że było ich więcej, ale wskutek niewiedzy nie zostały publicznie ujawnione, dlatego przytaczamy dosłownie relacje. Pierwsza magistra inżyniera:

„Po oddaniu telewizora marki radzieckiej do naprawy wymieniono oryginalny kineskop na stary, pomimo że usterka dotyczyła innej części. Odbiór od razu popsuł się. Oddałem telewizor po raz drugi w okresie reklamacyjnym do naprawy, która trwała 18 dni i odebrany telewizor znów nie odbierał dobrze. Nareperował go dopiero prywatny elektromechanik".

Inny punkt napraw radiowo-telewizyjnych: „Znów kradzież części zamiennych. Po 2 tygodniach zgłosiłem się do zakładu po odbiór, okazało się, że trzeba wymienić filtr, a nie podana poprzednio część. Termin wykonania ustalono znów na 19 dni, po którym zamiast filtra wstawiono lampę. Po tej miesięcznej przeszło naprawie radio do dzisiaj nie gra wcale".

A oto relacja nauczycielki matematyki: „W kuchence elektrycznej przepaliła się sprężyna. Kuchenka była jeszcze na gwarancji, więc oddałam do naprawy. Zreperowano, ale zamiast sprężyny o mocy 500 W zainstalowano 300 W. Kuchenka nie nadawała się do dalszego użytku. Szkoda czasu, aby udowodnić im takie świństwo".

Naprawa pralek i lodówek nastręcza kłopotów odmiennych. Ciężar fizyczny tych sprzętów zmusza do poszukiwań przewoźnika. Wyłania się trudność: kto ma dowieźć i przywieźć sprzęt z punktu usługowego. Operacja ta, jak stwierdzano, „pochłania bardzo dużo czasu. Mniej kłopotliwym byłoby wykonanie napraw w mieszkaniu". Niemniej ważna jest także cena usługi. „Wymiana agregatu w lodówce kosztowała mnie 2500 zł. Uważam, że dla przeciętnie zarabiającego obywatela jest to zbyt duży wydatek" (lekarz).

Kilkanaście osób, które udzielało informacji o usługach, podniosło kwestię, która w całym zbiorze trudności wydaje się być marginalna. Pytano, gdzie mają szukać pomocy osoby, które posiadają „stary" — sprzed 5—6 laty — sprzęt techniczny? Żaden z zakładów naprawczych nie chce się „babrać" w starociach, tłumacząc odmowę brakiem części zamiennych.

W tej postawie społecznej naszych usługowców-techników zaznaczają się tendencje jakże wieloznaczne. W dawnych czasach — których granicę trudno zaznaczyć precyzyjnie dla poszczególnych środowisk — meble przechodziły z pokolenia na pokolenie, noszenie ubrań po rodzicach było powszechne, a handel starzyzną zdobył sobie nawet miejsce w klasycznej literaturze pięknej, stosunek do świata otaczających rzeczy był bardziej ustabilizowany i długotrwały. Nowsze czasy wzmacniają prąd „przedawniania się", „starzenie się" przedmiotów codziennego użytku. Ale czy nie można by było zachować swoistego azylu dla kręgów, które nie nadążają za przyspieszonym rytmem wycofywania z obiegu rzeczy jeszcze użytecznych mimo że z „innej epoki"?

Zasygnalizowane wyżej fakty wprowadzają w kwestie nader interesujące, lecz jednocześnie zawiłe.

Rozproszenie jednostek i grup na wielkich przestrzeniach, nikła sieć osiedleńcza, brak wielorakich powiązań komunikacyjnych między izolowanymi środowiskami, uprawiane zawody nie wymagające kontaktu ze światem formują ekstensywny wzór wykorzystywania czasu. Procesy industrializacji i urbanizacji niszczą radykalnie ów wzór. Czas nagli, „przestrzeń ludzkiego rozwoju" się kurczy, zagęszcza, komplikuje, nasila kontakty między ludźmi, „zaraża emocjonalnie", zmusza do naśladownictwa, pogoni za nowinkami, modą.

Zrozumiałymi stają się więc na tym tle dążenia do ekspresowego systemu usług. Wymagania tego systemu spełniają tylko lubelskie zakłady gastronomiczne. Tylko 33 osoby na 248 miało wobec tych placówek jakieś zastrzeżenia. Głównie to jednostronny profil serwowanych dań, niewspółmiernie drogich do ich jakości, które nie zachęcają do odwiedzania restauracji

Ludziom cierpiącym na schorzenia żołądkowe nie wystarcza jedna jadłodajnia dietetyczna. Dla gospodyń domowych, które pragną „porzucić własną kuchnię" i w niedzielę wybrać się z rodziną do restauracji, posiłki tam podawane wydają się zbyt drogie.

Opisany wyżej łagodny styl krytyki społecznej lubelskiego systemu gastronomicznego zmienia się nie do poznaki w napastliwy — w wypowiedziach 36-ciu właścicieli samochodów osobowych. Oto fragment relacji złożonej przez pracownika naukowego: „Sprzedałem samochód tylko dlatego, że straciłem nerwy i cierpliwość do korzystania z zakładów napraw samochodów, a szczególnie do ich mechaników".

O usługach motoryzacyjnych „Kamena" pisała osobno, więc tematu tego nie rozszerzamy. Faktem jest, że dla wielu właścicieli samochodów pojazd mechaniczny spełnia funkcje narzędzia pracy ułatwiającego spełnianie czynności zawodowych. W tych to kręgach sformułowano propozycje usług ekspresowych w dziedzinie napraw i przeglądów samochodów.

Na nieco innej płaszczyźnie należy rozpatrywać oceny komunikacji miejskiej. Zastanawiający fakt, tylko co ósmy z odpowiadających narzekał na jej wadliwe funkcjonowanie.

Nasuwają się przypuszczenia: badani mieszkają w pobliżu swoich zakładów pracy, nie korzystają z usług komunikacji miejskiej w godzinach szczytu, bądź ze względów zdrowotnych dochodzą do pracy pieszo.

Proporcjonalnie niewielka zbiorowość — około 13 proc. — wypowiadających się o komunikacji miejskiej oceniała ją jednak nader krytycznie, zwłaszcza jej funkcjonowanie w godzinach szczytu.

W zbiorowej suplice korzystających z komunikacji miejskiej zapisane zostały następujące projekty: wykorzystania autobusów zakładowych w godzinach szczytu, przedłużenia kursowania autobusów do godz. 24-ej, lepszej obsługi mieszkańców nowych dzielnic — Zemborzyc, Czechowa i Sławinka, jak też podniesienia ceny biletów, aby „nie opłacało się przejechać jeden przystanek".

W przedkładanych rozważaniach starano się utrzymać zasadę prezentacji materiału według skali kolejno malejących trudności jakie napotykali i napotykają badani w trakcie zetknięć z placówkami usługowymi. Celowo przemilczano fakt istnienia na rynku dwu sektorów usługowych: uspołecznionego i prywatnego. Stan taki sprzyja porównaniom, swoistej rywalizacji a nawet selekcjonuje klientów, którzy mając w orbicie swoich zainteresowań konkurencyjne firmy wybierają najwłaściwszą. Oczywiście nie wszystkie dziedziny usług takie szanse stwarzają, mimo że w ostatnich latach polityka państwa zmierza do ożywienia rzemiosła prywatnego, czy ajencyjne gastronomii.

Interesującym w trakcie porównań obydwu sektorów było stwierdzenie „wachlarzowej" struktury ocen. Inne cechy były eksponowane u prywatnych, a inne u uspołecznionych. W placówkach uspołecznionych wymieniono takie ich dodatnie wyróżniki: stałość cen, udzielanie gwarancji, niskie ceny, dogodne dla klienta warunki lokalowe.

Zbliżając się ku końcowi sprawozdania z sondażu pora przedstawić pożądany model usług. Impulsem do rozważań na ten temat były wypowiedzi osób, z którymi przeprowadzono wywiady. Nie wchodząc w szczegóły, w wielu wypowiedziach przyjmowano milczące założenia o intensyfikacji procesów dalszego różnicowania zawodowego, który z kolei będzie przerzucał na barki innych czynności nie wchodzące w obręb wyspecjalizowanej pracy własnej.

Tak to więc obywatel po opuszczeniu zakładu pracy będzie miał prawo, a nawet pewny przywilej, że wszędzie, gdzie się tylko znajdzie, będzie obsłużony sprawnie, grzecznie i zgodnie z wymaganiami. Cały więc system usług nastawiony będzie na ułatwienie i udogodnienie życia swoich klientów. Przyjmując zamówienia przez telefon realizuje je natychmiast. Serwuje zestaw posiłków na przyjęcie niespodziewanych gości, pierze, sprząta, naprawia, zamawia potrzebne bilety, odnawia mieszkania podczas urlopów, a nawet magazynuje ziemiopłody na okres zimy w piwnicy zleceniodawcy.

Dystans od zarysowanej wyżej wizji do realiów jest wskaźnikiem stopnia natarczywości potrzeb, a jednocześnie zapóźnień, jakie zaobserwowano na analizowanym polu.

Przyspieszenie rozwoju społeczno-gospodarczego ostatnich lat dokonało głębokiej reorientacji psychologicznej szerokich zbiorowości ludzkich, a szczególnie kręgów społecznych, które były obiektem naszych zainteresowań. Wyłoniły się osobowości społeczne o nowym oryginalnym profilu potrzeb i zainteresowań nieznanym planistom i menadżerom usług, którzy oddziedziczyli — po okresie kiedy miasto stanowiło niewielkie skupienie ludzkie — zakłady niedoinwestowane, słabo wyposażone i o niewielkiej kadrze fachowców. Powstawanie nowych dzielnic, rozwój budownictwa mieszkaniowego, stworzył nowy układ przestrzenny, a w związku z tym nowe potrzeby w zakresie usług tzw. bytowych. W wielu więc punktach rozległego rynku usług wybuchły napięcia, pod szczególnym naporem znaleźli się krawcy, stolarze, fryzjerzy, jubilerzy, kuśnierze i mechanicy samochodowi, którzy nie będąc w stanie zaspokoić narastających potrzeb, stosują przeróżne uniki wobec tej zbyt dużej „dawki postępu".

Żal miejsca pod orzechem

Adolf Lekki

ZNAJDOWAŁEM się w miejscu, do którego nie docierały słowa pociechy ani wieści mogące zbudzić w sercu nadzieję. To było dziwne miejsce. Wokół pusto, ani jednego człowieka, nawet mglistego zarysu ludzkiej twarzy. Tylko przestrzeń. Okolica była mi znajoma: równinne pola po tysiąckroć zdeptane moimi nogami kończyły się tam, gdzie Wieprz pracowicie wyżłobił swój jar. Widziałem przedżniwny łan pszenicy, za nim pole buraczane i plantację pomidorów, spoglądałem na sad — chlubę mego gospodarstwa. Jakże kochałem ten kawał ziemi! Użyźniłem tu każdą skibę, wypieściłem każde drzewko, byłem zespolony z siewem, dojrzewaniem i zbiorem.

Więc w jakim jestem miejscu? Skąd ta duszność? Ciężar gniotący pierś? Co się ze mną dzieje?

Obraz uległ zmianie. Zobaczyłem swój dom murowany z białych pustaków, otynkowany, pokryty cynkową blachą — najpiękniejszy dom w całym Sąsieku. Od ulicy oddzielał go kwietnik ogrodzony siatką pomalowaną na zielono, za nim — podwórko: cieszyła oczy obszerna stodoła, jasna stajnia połączona z chlewnią, magazyn narzędzi rolniczych. Przed domem rósł orzech włoski, pod nim stawiałem okrągły stolik i wygodną drewnianą ławę. Siadałem tam w przedwieczerz, ogarniałem wzrokiem zabudowania i — nie ma co ukrywać — byłem dumny. Nie zmarnowałem swego życia. Kiedy wilgotny zmierzch kładł się na całe moje gospodarstwo, wstawałem, prostowałem kości.

•Dobrze jest żyć!

Żyć!

A w ostatniej godzinie móc wspomnieć każdy dzień wypełniony trudem, lata, których nie trzeba się wstydzić.

Jakbym był zawieszony ponad przestrzenią i czasem, jakbym w kinie oglądał swoje własne życie. Tylko ta duszność, ta duszność!

Stęknąłem, próbowałem zmienić położenie, nic z tego nie wyszło. Ogarniała mnie wściekłość, szarpnąłem się raz, drugi. Daremnie. Znów zmiana obrazu. Leżę na miedzy odgraniczającej nasze pole od gospodarstwa Łasaka, jakoś lżej oddycham. Wreszcie pierwsza ludzka twarz — ojcowska.

Skąd tutaj mój ojciec? Przecież on zmarł dawno temu...

Bzdura. Ani on zmarł, ani ja mam ponad pięćdziesiątkę. Tamte obrazy to był sen, już o nim zapominam. Mam siedem albo osiem latek. Ojciec pochyla się nade mną. Jest ogromny, ma twarz poprzecinaną bruzdami, siwy wąs opadający do kołnierza koszuli, krzaczaste brwi nie pozwalają dostrzec oczu. Mówi z naciskiem:

„Spośród wielu godnych spraw najpierw nauczysz się kochać swoją karmicielkę — ziemię i nie pozwolisz sobie odebrać ani jednej grudki. Pamiętaj".

„Antek! Ziemię ci kradną!"

„Złodzieju! Oddaj to, oddaj" — krzyczę za Felkiem Łysakiem, który porwał z naszego pola bryłę czarnoziemu i umyka z nią w stronę swojego poletka. Koledzy się śmieją.

Rys. E. Inglot

Drwicie ze mnie? Drwijcie. Zobaczymy, czyje będzie na wierzchu.

„Będzie ci ciężko, ale musisz wytrzymać" — słyszę ostatnie słowa ojca, po czym jego postać maleje, znika...

Już siedzę nad Wieprzem. Znów jestem sam. Jakoś nie mam szczęścia do ludzi. Cóż im takiego uczyniłem? Nie kradłem, nie oszukiwałem, a że byłem twardy? Dla siebie również. Zresztą, jeśli nawet mój charakter nie przypadł im do smaku, powinni byli uznać moją pracowitość, moją dobrą wolę. Ostatecznie mogli w życzliwy sposób wytknąć mi wady, może bym zrozumiał?

Do diabła z ludźmi! Nic mi po nich! Mam ziemię! Ta mnie nie zdradzi. W myślach ogarniałem ramionami całe osiem hektarów. Szeptałem: „Mam was! Jesteście moje. Nie mogą mi was odebrać. Niech drwią, wytykają palcami, niech mi zadają ból. Ja wszystko zniosę".

Jakaś natrętna myśl nie daje mi spokoju. Serce mnie boli. Stało się coś nieodwracalnego, coś złego. Och, jak ciężko, jak mi źle!

— Tato, tato co wam jest? Nie możecie spać?

Zwolna wracała świadomość rzeczywistości. Nie leżałem na miedzy, nie siedziałem nad Wieprzem ani pod moim orzechem. W ustach mi zaschło, zwolna rozprowadzałem językiem ślinę po szorstkim podniebieniu. To mi się dotychczas nigdy nie zdarzyło.

— Coś wam dokucza?

— Sen miałem.

— Tak bywa na nowym miejscu. Przyzwyczaicie się.

— Zobaczymy jak to będzie.

— Która też może być godzina? — pstryknął kontakt, seledynowe światło nocnej lampki rozproszyło ciemność. — Dopiero druga, trzeba jeszcze spać.

— Nie gaś światła.

— Jak chcecie.

Na nocnym stoliku ustawionym tak przemyślnie, że podczas nie spokojnego snu łatwo o jego kant wyrżnąć łbem, leżała paczka sportów. Usiadłem na tapczanie, opuściłem nogi, wziąłem papierosa. Długo gniotłem go w palcach myśląc przy tym jakie zajęcia czekają mnie od rana. Siłą nawyku dzieliłem swój czas, jak zwykłem to czynić dotychczas: poranne obrządki, potem trzeba wstąpić do spółdzielni, może przysłali trochę węgla, mnie, hodowcy, należy się w pierwszej kolejności...

— Cholera — zakląłem półgłosem. — Jasna cholera. Nie ma hodowcy, nie ma gospodarza.

Drżącymi paluchami grzebałem w pudełku z zapałkami, ani rusz nie mogłem uchwycić jednego drewienka. Zły, jak diabli, wysypałem zawartość na watowaną kołdrę. Watowana kołdra, jakbym ją dostrzegł dopiero w tej chwili. Tfu! Zniszczyć taką dobrą pierzynę, żeby z niej wykombinować takie gówno. Obrzydzenie bierze, ani człowiek wie pod czym leży. Trzask zapałki rozbudził Annę.

— O nie — powiedziała stanowczo. — W tym pokoju nie będziecie palić papierosa. Czas zerwać ze starymi nawykami. Chcecie zadymiać płuca — idźcie do kuchni.

— Zrobię, jak będę chciał — mruknąłem.

— Nie zrobicie.

— Kto mi zabroni?

— Ja.

— Ciekawe — zaciągnąłem się głęboko, wydmuchnąłem dym daleko, aż na środek pokoju. Chwycił mnie gwałtowny kaszel.

— Tylko tego brakowało — warknęła córka. — Rozbudzicie wszystkich w kamienicy. Wiecie, jakie tu cienkie ściany. Wyjdźcie natychmiast do kuchni.

— Niech szlag trafi kamienicę z cienkimi ścianami...

— Nie podnoście głosu. Chcecie się dostać na ludzkie języki? Robicie wszystko żeby mi dokuczyć, przez was ja cierpię. Co wam zawiniłam? Dlaczego nie macie litości nade mną?

— Nie becz, już idę do kuchni.

— Włóżcie ciapy, podomkę. W samej piżamie będzie wam za chłodno.

Nie powiedziałem ani słowa. Zgarnąłem papierosy, zapałki, splunąłem na kołdrę, wyszedłem.

W kuchni było czysto i ciepło. Wprawdzie nieco zawiewało przez nieszczelne okna, ale to mi nie przeszkadzało, przeciwnie, to mi było potrzebne. Przynajmniej trochę świeżego powietrza w tym zaduchu. Nie było popielniczki. Cisnąłem niedopałek w kąt, nawet się nie trudziłem żeby go zadeptać i tak pożar nie groził. Spojrzałem po sobie z obrzydzeniem. Piżama. Ciemnobrązowe porteczki, taka sama bluza. Strój w sam raz pasujący dla błazna nie dla statecznego gospodarza. Parę dziesiątków lat spałem w zaciach, nikomu to nie przeszkadzało, mnie było wygodnie, aż tu nagle piżama. Na psy zszedłem, na psy! Usiadłem na krzesełku, oparłem głowę na rękach.

Bywa tak, że dla kogoś nie ma już żadnej przyszłości. Czas się zatrzymał w określonym punkcie, możesz do woli rozpamiętywać przeszłość, nawet widzisz ją wyraźniej niż kiedykolwiek i niech to będzie dla ciebie jedyną pociechą.

...nad połamaną bramą, na poczerniałym słupie ojciec przybił kiedyś skrzydło jastrzębia. Często prowadzał mnie w to miejsce.

„Jastrzębiec jesteś, Jastrzębiec — powtarzał aż do znudzenia. — Zostaw handel Żydom, rzemiosło mieszczanom. Ty się trzymaj ziemi. Póki cię od niej nie oderwą — będziesz sobą. Na małej zagrodzie, ale wojewoda. Zapamiętasz?"

— „Tak, tak".

To był szczęśliwy człowiek, nawet konając miał nadzieję, że ja dożyję czasów, jakie on sobie wymarzył. Ja jeszcze nie kąnam, a już nie mam żadnej nadziei.

...zastukali do moich drzwi późnym wieczorem. Musiałem otworzyć, grozili podpaleniem chałupy.

„Gdzie skrzydło jastrzębia?" — zapytał najstarszy rangą.

„Nie wiem, może wiatr zerwał".

„Wiatr, czy czerwoni?"

Wzruszyłem ramionami.

„Panie Dębica, jeśli do jutra skrzydło nie znajdzie się na swoim miejscu, my je odszukamy, a pan zeżre całe, z piórkami i kosteczkami. Jasne?"

W mojej rodzinie nie było ludzi o słabych charakterach. Groźba wywarła inny skutek niż oni zamierzali. Zawziąłem się, stwardniałem, a kiedy doszła mnie wieść o zamordowaniu kilkunastu młodych ludzi w pobliskim Puchaczowie, wziąłem udział w manifestacyjnym pogrzebie, setów byłem nawet uczestniczyć w pościgu za bandą, ale moja dobra wola nie znalazła wtedy zrozumienia.

Mijały lata lepsze i gorsze. Wczepiłem się pazurami w ziemię, wszystkie siły poświęciłem gospodarstwu, nie oszczędzałem siebie ani moich najbliższych. Zawistni gadali, że żonę przedwcześnie wpędziłem do grobu. Kłamstwo. Pracowałem ciężej niż ona, a żyję. Po prostu była słabowitego zdrowia, urodziła tylko dwoje dzieci i już zaczęła kwękać, aż zgasła.

Nie wiem, jak przetrzymałem tamten okres, dwoje dzieci, z których nie miałem żadnej pociechy, moje dwie ręce na całe gospodarstwo. Znaleźli się dalecy krewni, chcieli pomagać. Ale ja ich znałem. Pomogą ci za dziesięć, ukradną za sto. Przepędziłem bractwo, zgodziłem starą babę, na wpół żebraczkę, która za miskę strawy prowadziła dom, sprawowała opiekę nad synem i córką.

Życie mnie wiele nauczyło. Przede wszystkim doszedłem do przekonania, że na tym świecie nie ma spraw nieważnych. Nie wolno pomijać żadnego drobiazgu, który w przyszłości może mieć decydujące znaczenie. Byłem pracowity, słowny, prawdomówny, nie oddawałem swego, ale nie wyciągałem ręki po cudze. Ten trud się opłacił. Dostałem dwieście tysięcy złotych pożyczki na bardzo dogodnych warunkach, postawiłem nowy dom, zabudowania gospodarcze, nastawiłem gospodarstwo na uprawę owoców i warzyw. Dzieci już dorastały, miałem jaką taką wyrękę.

Kiedy się wydawało, że wszystko jest na najlepszej drodze, spadło na mnie to nieszczęście. Nie mógłbym określić roku, ani daty początków mej biedy. Może nie trzeba uściślać tego wydarzenia według kalendarza? Może powinny wystarczyć pewne zjawiska, które powinienem był uznać za ostrzeżenie? Pamiętam. Wszystko pamiętam.

Kuchnia była mała, niepodzielna. W rogu stała kuchenka gazowa, nad nią znajdowała się półka, wszystkie metalowe części tych urządzeń błyszczały nikiem. Na ścianie, na wprost drzwi wisiał drewniany krucyfiks, który przyniosłem z dawnego domu i do którego się modlił mój ojciec i dziad, pod nim stała podniszczona kanapka. Siedziałem na krzesełku z głową opartą na rękach, głowa puchła od myśli, spoglądałem na umeblowanie chwytając się na tym, że wszystko, co stare jest mi miłe, a nienawidzę tego, co nowe. Nie mogłem palić kolejnego papierosa, nie pozwalał niesmak w ustach, spieczone wargi, drapanie w gardle. Położyłem się na kanapce. Czekałem na sen, ale ten nie nadchodził. Zerwałem się, zakląłem, jak gdybym uderzył o coś czołem, nawet poczułem dotkliwy ból. Piżama była wilgotna od potu, serce biło szybko, o wiele za szybko. Dotychczas nigdy nie odczuwałem podobnych dolegliwości. Spod drzwi wiodących na korytarz wymykała się wąska smuga światła. Anna jeszcze nie zasnęła ponownie. Może żałowała zbyt ostrych słów, może i ją, jak mnie, dręczyły majaki.

— Aniu! — zawołałem półgłosem. Serce się uspokajało. Przez jakiś czas nasłuchiwałem, czy spoza tego światełka nie doleci do mnie jakiś głos, ale nie, była cisza. — Aniu! — zawołałem głośniej.

Nagle zapłonęło światło, córka stanęła w otwartych drzwiach kuchni.

— Czego?

— Zauważyłem światło, sądziłem, że nie śpisz.

— Po nie spałam. Tato, przy was coraz trudniej mi zasnąć.

— Czy to moja wina?

— Może moja? Podać wam coś do picia?

— Czystej wody bym łyknął.

— Macie w kranie.

— Chcę ze studni.

— Chcecie wody ze studni, mąki z żaren, jabłuszka z własnego drzewka, chcecie zatrzymać to, co i tak idzie do przodu, to, co was zgniecie, unicestwi?

Dlaczego Anna mówi w ten sposób? Nie skrzywdziłem jej przecież, zawsze była moim kochanym dzieckiem. W tej samej chwili ogarnął mnie nie-

Dokończenie na str. 12

Murzyn

Wiesław Śladkowski

PSEUDONIM ten był dobrze znany bojownikom z GL, a później AL działającym w Lublinie. W latach okupacji hitlerowskiej nosił go Ryszard Postowicz. Wysoki, silnie zbudowany mężczyzna o ciemnych oczach i czarnych włosach, imponował niebywałą siłą, wspaniałą sprawnością fizyczną ,odwagą graniczącą z zuchwalstwem, a jednocześnie fantazją i żywą inteligencją. Był ogromnym samorodnym talentem lingwistycznym. Dzięki temu opanował kilka języków obcych, świetnie władał zwłaszcza niemieckim. Gorący patriota, a jednocześnie członek OMTUR, KZMP, KPP był bojownikiem o sprawiedliwość społeczną. Jako dziecko robotniczej dzielnicy Lublina — Kośminka znał miasto jak własną kieszeń, wszędzie miał licznych przyjaciół i kolegów. Te wspaniałe przymioty ciała i ducha, niezłomne cechy charakteru i siła przekonań politycznych predestynowały Ryszarda Postowicza do roli przywódcy tych, którzy w latach okupacji podjęli rękawicę śmiertelnej walki z hitlerowcami. Imię jego dzięki wielu udanym, niezwykle śmiałym, brawurowym akcjom, przeprowadzonym na terenie Lublina i okolicy, weszło na trwałe nie tylko do opracowań historycznych omawiających te czasy, lecz otoczone nimbem jakże szybko rodzącej się w takich wypadkach legendy, stało się częścią żywej tradycji naszego miasta.

A przecież o życiu i czynach tego bohaterskiego partyzanta lubelskiego wiedzieliśmy dotąd niewiele. Zaginęły bowiem strzępy skąpych, jak zwykle w konspiracji, meldunków. Wielu członków grupy Postowicza poległo w walce lub zmarło po wojnie. Innych życie rozproszyło po kraju, pozostali zachowali skromne milczenie.

To, że istotne szczegóły o działalności Murzyna i jego towarzyszy zostały przypomniane, zawdzięczamy książce Ludwika Bronisza-Pikały pt. „Murzyn", która ukazała się ostatnio. Jest to druga pozycja tego autora. Bronisz-Pikało zadebiutował udanie przed kilku laty „Pierwszą Skrzydlatą" — tchnącą autentyzmem opowieścią autobiograficzną o lubelskich konspiracjach harcerskich w czasie okupacji. Tym razem autor stanął przed zadaniem daleko trudniejszym. Mógł wprawdzie dzięki swej żywej pamięci z lat młodzieńczych doskonale uchwycić dobrze mu znane realia okupacyjnego Lublina, jednak o czynach i działalności Ryszarda Postowicza musiał szukać informacji w źródłach historycznych i relacjach jego towarzyszy. Sam bowiem Postowicz zginął śmiercią tragiczną w 1952 roku. Najbardziej cennych i szczegółowych informacji dostarczył autorowi najbliższy współpracownik Murzyna, Radajewski-Warta. Można więc powiedzieć, iż autor tej interesującej książki na etapie gromadzenia źródeł i informacji upodobnił się do historyka. Zebranemu przez siebie materiałowi nadał jednak literacką formę opowieści, chcąc zbliżyć bardziej swą książkę młodemu czytelnikowi. Wszystkie jednak postacie w niej występujące żyły i działały w rzeczywistości, a niektóre żyją nadal. Podobnie opisane przez autora wydarzenia, akcje bojowe i dywersyjne przeprowadzone przez grupę Murzyna odbyły się w rzeczywistości. W gruncie rzeczy jest to więc opowieść historyczna i autentyczna.

Jak każda biografia, książka Bronisza-Pikały ma układ chronologiczny. Autorowi udało się bardzo przekonywująco na kilkunastu początkowych stronach nakreślić dzieciństwo i młodość swego bohatera, wskazać na cechy jego charakteru: samodzielność, odwagę, wrażliwość na krzywdę ludzką, które doprowadziły rychło młodego Ryszarda Postowicza do ruchu socjalistycznego i komunistycznego. Zasadnicza część książki została, oczywiście, poświęcona okresowi okupacji. Postowicz po ucieczce z niewoli hitlerowskiej (we wrześniu 1939 roku walczył na Helu), już w 1941 roku wspólnie z byłymi członkami KPP w Lublinie, Michałem Lisem i Bogdanem Parczyńskim, zakłada w oparciu o robotniczą brać kolejarską 40-osobową grupę partyzancką. Po powstaniu w styczniu 1942 roku Polskiej Partii Robotniczej i utworzeniu w maju Komitetu Miejskiego PPR w Lublinie grupa Postowicza przekształciła się w specjalny oddział partyzancki GL, a następnie AL. Dalej akcja książki toczy się już nader wartkim nurtem i ma w wielu wypadkach wręcz sensacyjny charakter. Postowicz, znający doskonale język niemiecki, często bowiem działał przebrany w mundur niemiecki, rozpracowując środowisko lub obiekty, które stawały się następnie celem akcji partyzanckiej. Jak w kalejdoskopie przesuwają się przed oczyma czytelnika opisy jego licznych i brawurowych akcji. Zmierzały one do zdobycia broni, informacji, wymierzone były przeciwko zdrajcom i odznaczającym się szczególnym okrucieństwem hitlerowcom. Postowicz z narażeniem swego życia ratował Żydów, organizował ucieczkę więźniów z Majdanka, dla zasilenia kasy organizacyjnej ściągał z urzędów niemieckich kontrybucję, wreszcie kierował z powodzeniem wielkimi akcjami dywersyjnymi w okresie słynnej bitwy o szyny, gdy partyzanci z GL i AL wspomagali skutecznie walczącą z hitlerowcami Armię Radziecką, wysadzając w powietrze transporty wroga idące na front wschodni.

Książka kończy się opisem wyzwolenia Lublina oraz objęciem przez Ryszarda Postowicza funkcji organizatora lubelskiej milicji.

Ludwikowi Bronisz-Pikale udało się napisać frapującą opowieść dla młodzieży. Jednocześnie autor jako pierwszy wydobył z pewnego zapomnienia wspaniałą postać Ryszarda Postowicza — ideowego komunisty, patrioty, bojownika o wolność Ojczyzny. Bez natrętnej dydaktyki, ze zrozumieniem psychiki współczesnego młodego pokolenia, przekazał w książce, kreśląc postać swego bohatera, godne pochwały wzorce postępowania, które powinny cechować każdego człowieka i obywatela. Dla czytelnika lubelskiego dodatkową atrakcją książki są te jej partie, w których autor z talentem i wyraźnym sentymentem opisuje ulice, przedmieścia i zaułki naszego miasta, wiernie przekazując także okupacyjną atmosferę Lublina.

Te bezsporne pozytywy książki nie mogą jednak zwolnić recenzenta od uczynienia kilku uwag krytycznych. Być może dla zrównoważenia wybitnie męskich cech swego bohatera, którego niezwykłą siłę fizyczną autor ciągle podkreśla, włączył on do swej opowieści zupełnie przeciwstawny wątek. Oto młody Ryszard za pierwsze zarobione przez siebie pieniądze uniesiony odruchem współczucia kupuje od biednego chłopczyka cały zapas sprzedawanych przez niego na ulicy świeczek. Jest to aż nadto wyraźna trawersacja andersenowskiej „dziewczynki z zapałkami". Dialogi są żywe i utrzymane na ogół w charakterystycznej dla okresu okupacji barwie słownej. Są jednak pewne wyjątki. Np. zwrot „rozmowa nie na telefon", to raczej polszczyzna ostatnej już doby i nie najlepszej próby. Nieco pretensjonalnie brzmi też określenie „wychudzone perszerony" zamiast po prostu szkapy.

Są to jednak drobne uchybienia pisarskie. W sumie recenzowaną książkę można z powodzeniem polecić czytelnikom lubelskim. Pokolenie pamiętające czasy okupacji sięgnie do niej z pewnością dla skonfrontowania własnych wspomnień z opisami i sądami autora. Młodzież znajdzie w niej obok niezmiernie interesujących i niekiedy wręcz filmowych opisów akcji partyzanckich, postać wspaniałego bohatera, jakim był bezsprzecznie Ryszard Postowicz. Na uwagę zasługuje także krótkie lecz znakomicie napisane posłowie pióra doc. dr hab. Zygmunta Mańkowskiego, wybitnego historyka lubelskiego i znawcy dziejów okupacji, podające szersze tło historyczne opisanych w książce wydarzeń.

Ludwik Bronisz-Pikało, Murzyn opowieść o Ryszardzie Postowiczu, Młodzieżowa Agencja Wydawnicza, Warszawa 1978, s. 326.

PRASA LUBELSKA PISAŁA

PRZED 100 LATY

● Kwestia zakładania fabryk krochmalu z kartofli weszła u nas na porządek dzienny. Myślą o nich pojedynczy ziemianie, toczą się w tym przedmiocie rozmowy przy liczniejszych zebraniach, zasięgający rady specjalistów, wertują dzieła technologiczne, słowem każdy stara się kwestię tę zbadać, jasno postawić względnie do warunków swych gospodarstw i chwili, ażeby wprowadzając ją w życie nie być narażonym na straty z nieświadomości przedmiotu, wypłynąć mogące.

Ramy „Gazety Lubelskiej", nie będącej pismem specjalnym, nie dozwalają obszernego traktowania tego przedmiotu, z uwagi jednak, że „G.L." zajmować się pragnie i zajmuje interesami ziemian, uważamy za stosowne chociaż ogólnie dotknąć tej kwestii.

Przed laty kilkunastu, gdy gorzelnie były zakładami przeważnie rolnictwu pomocniczymi, produkcja kartofli w guberni lubelskiej była o kilkakroć większa, aniżeli dzisiaj, z chwilą gdy gorzelnie stały się fabrykami często specjalnymi i gdy zaledwie gdzieniegdzie takie istnieją, eksport bydła tuczowego ustał prawie zupełnie. Fabryki krochmalu, nie wymagające wielkiego kapitału nakładowego, mogłyby u nas zastąpić miejsce dawnych gorzelni, dozwalając obszerniejszej uprawy kartofli i pozostawiając odpadki z nich na karmę dla inwentarza.

„Gazeta Lubelska"

PRZED 50 LATY

● Mieszkańcy Zemborzyc po skomasowaniu przystępują obecnie do zmeliorowania łąk, ciągnących się po lewej stronie kolejowej Lublin — Rozwadów obok lasu Dąbrowa. W miesiącach letnich są one od pewnego czasu miejscem wycieczkowym dla licznych letników, którzy mieszkają tam stale, bądź uczęszczają w niedziele i święta, toteż doprowadzenie do porządku drogi wiodącej do lasu przez łąki było zawsze kwestią palącą dla ludności. Obszar podlegający zmeliorowaniu wynosi ok. 250 ha. Celem racjonalnego zmeliorowania łąk Zemborzyckich zawiązywane są specjalne spółki wodne, oraz zawierane są umowy z inżynierami fachowcami. Tak więc dzięki usilnej pracy tamtejszych mieszkańców droga prowadząca przez łąki, która już w ubiegłym roku była częściowo doprowadzona do porządku, będzie w roku bieżącym uporządkowana zupełnie.

„Głos Lubelski"

Wybrała: **Anna Orzechowska**

Żal miejsca pod orzechem

Dokończenie ze str. 11

wymowny żal. Po co ją wołałem? Lepiej było samemu leżeć na tapczaniku, samemu przetrawiać własne zwątpienia, rozterki, żale.

— Usiądź przy mnie — poprosiłem. Przesunąłem się do samej ściany, zrobiłem jej miejsce.

— Jak chcesz, tato.

Usiadła na brzeżku, zgarnęła poły szlafroka, otuliła nogi. Dorosła, samodzielna dziewczyna. Powiedziałem głośno to, co mi w tej chwili przyszło na myśl:

— Paweł nie pisał do ciebie?

— Nie.

— Chowałem, na rękach nosiłem...

— Lejcami biłem — wpadła mi w słowa.

— Jeśli mocno zawinił.

— Różnie bywało.

— Trzymasz jego stronę?

— Tylko stwierdzam fakty.

— Jednak mógłby napisać choć raz na miesiąc — obstawałem przy swoim. — Ojcowskie bicie jest jak wiosenny deszcz.

— Wiecie, jak daleko jest Jastrzębie?

— Rzecz w tym, że jego serce jest dalej niż najdalszy kraniec tego kraju. Nie wiem, gdzie jest Jastrzębie, nie wiem, co on tam porabia, jak i z czego żyje. Tylko wiem, jak mnie skrzywdził, zelżył, na ludzkie pośmiewisko wystawił.

— Niesprawiedliwy z was człowiek.

— Znajdź sprawiedliwego! — niemal krzyknąłem. — Gdzie ich znajdziesz? Wśród sąsiadów? Wiesz, co się działo u Stakanków? Za spłatę z trzech morgów za łby się ciągali po sądach. A u Guców zięć gonił teścia z siekierą w ręce: „Nie zapiszesz, skurwysynu — do piekła pójdziesz ze swoim majątkiem" — groził. Mógłbym ci przypomnieć wszystko, co się działo w Sąsieku.

— Nie trzeba.

— Może szukasz sprawiedliwszych wśród urzędników? Więc ci powiadam — uderzyłem pięścią w pierś — że każdego z nich można kupić, albo zastraszyć, wtedy załatwi ci sprawę, jak trzeba. Ale biada prostemu chłopu.

— Przesadzacie, jak we wszystkim.

— Aniu — zgodny byłem na ustępstwa. — Może w wielu sprawach rzeczywiście przesadzam. Jest mi ciężko, źle, może jestem chory? Dziecko, przytul się do mnie jak w dziecięcych latach.

Chyba trafiłem w jakąś czułą stronę jej uczuć, bo skuliła nogi, położyła się, głowę oparła na mojej piersi. Szlochała.

— Nie płacz — gładziłem ją po twarzy. — Nie płacz. Wszystko, co mam, będzie dla ciebie. O tamtym staram się zapomnieć. Porzucił, odjechał, w porządku. „Kto nie słucha ojca matki — ten posłucha psiej skóry". Ty jeszcze będziesz panią całą gębą.

Uspokajała się, może sen ją morzył, płakała coraz ciszej, od czasu do czasu łkała jak skrzywdzone, lecz już pocieszone dziecko. Ściszyłem głos: — Wszystko ci oddam, gdy załatwię moje sprawy.

— Jakie? — zapytała sennie.

— Mam dwie: jedną z władzami i w tym nie możesz mi pomóc, drugą z tym gnojkiem, włóczykijem, przyczyną wszelkiego zła. To on zawrócił głowę Pawłowi.

— O kim mówicie? — odsunęła się ode mnie, sen ją odbiegł, była trzeźwa, czujna.

— Ty wiesz.

— O Cześku?

— Powiedziałaś.

Zerwała się z kanapki, stanęła nade mną. Światło się paliło, więc widziałem jej twarz. Pod opuszczonymi powiekami kładły się cienie gęstych rzęs, co nadawało jej podobieństwo do twarzy zmarłej matki. Lecz wyraz zwartych ust był stanowczy, w tej chwili nawet nieprzyjazny, a nieboszczka nie pokazywała tak jawnie swych uczuć.

— Posłuchajcie: ani jednego złego słowa o tym człowieku, bo stracicie córkę jak straciliście syna.

— Co ty?

— Ani słowa!

Patrzyłem na własne dziecko jakbym je ujrzał po raz pierwszy w życiu. Ania była blada, płaska, nijaka. Czarne włosy wrastały ostrym klinem w czoło, nad brwiami, na czole widoczne były dwa małe zgrubienia zniekształcające obraz. Ja, ojciec, stwierdzałem, że córka nie grzeszyła urodą. Tylko oczy miała piękne. Teraz patrzały na mnie ponuro, prawie groźnie. Zrozumiałem prawdę.

— Ty się w nim zadurzyłaś?

— Nic wam do tego. To moja sprawa.

— Tego tylko brakowało!

Odeszła, nie gasząc światła. Trzasnęła drzwiami kuchennymi, a w pokoju potrąciła stolik, jęknęły sprężyny, gdy się rzuciła na tapczan.

„O draniu — pomyślałem — wywłoko, skurczybyku, nędzarzu żyjący z ludzkiej łaski, my się jeszcze spotkamy, wtedy ci zapłacę hurtem za wszystko. Przekonasz się, że Dębica spłaca swoje długi co do grosza".

Adolf Lekki

Fragment powieści pt. „Między nami morze czarne".

Listy do Gerwazego

DZISIAJ będzie o „konflikcie pokoleń". O, nie traktuj tego stricte, cudzysłowu ma znaczenie nie tylko niedostowności, ale i ironii. Posługuję się wyrażeniem słyszanym często, a wcale nie mam ochoty przyznawać mu jakiegokolwiek głębszego znaczenia. Bo jeśliby, to dlaczego ograniczać go do nieporozumienia między dwudziesto- a pięćdziesięciolatkami? Każda granica wieku wytwarza odrębne gusty. Ośmiolatek nie chce już smoczka, woli cukierka na patyczku, piętnastolatek rozgląda się raczej za rowerem, dwudziestolatek swoje preferencje przerzuca na motocykl, a osiemdziesięciolatkowi wszystko wyżej wymienione jest obojętne. Dlaczego mówić o jednym konflikcie, kiedy tych konfliktów jest kilka? I dlaczego zwycięska ma tu być kategoria „młodzież", skoro ustępuje kategorii „dzieciństwo"? Jeśli liczyć możliwości miarą czasu do przeżycia, to dziecko ma tego czasu znacznie więcej. I tak schodzimy na teren arytmetyki.

Jedną z osobliwych pochodnych „konfliktu pokoleń" jest „ruch młodoliteracki". Kiedyś się z tym terminem nie spotykaliśmy. Czyżby dopiero ostatni dziesiątek lat chciał podkreślić, że istnieje młodzież piszące? Do jakiej zaliczali się Borowski, Bratny, Konwicki, Seibor-Rylski, Krzysztoń; tak samo pozwalali sobie na dezynwolturę młodemu wiekowi przynależne, a w terminologii recenzencko-literackiej odbicia to nie znalazło. Czyżby teraz „startowanie pokoleniową ławą" zatroszczyło się o własny transparent? Jak zwykle o hałasie mam prawo podejrzewać, że przykrywa się nim brak rzeczowego stanowiska.

Bo cóż w końcu metryka jako kryterium. Czy już do tego stopnia pogubiliśmy racje, sensy, normy, rozeznania itp., że jedynym uchwytnym argumentem stał się zapis w rubryce „metryka urodzenia"? Dawniej było nim miejsce zameldowania. Łaczyca i Sieradz ze znanego wiersza Tuwima były wyraźnie upośledzone prestiżowo w stosunku do tzw. centrów kulturalnych. Nawet to pewna prawidłowość. Z rozwojem cywilizacji kryterium przestrzenne przestało wystarczać. Ale na jego miejsce ma wejść kryterium czasowe? „Pokaż mi pan dowód osobisty, a w zależności od tego przyznam panu rację lub nie". Maluczko, a taka odzywka w dyskusji literackiej znajdzie się na porządku dziennym.

Wszystkim olśnionym własną młodością (jak kobieta często wątpliwą urodą) chce się odpowiedzieć: „Kochani, kto ma sześćdziesiąt lat miał kiedyś dwadzieścia, nie zawsze jest na odwrót" A chce się tak powiedzieć bynajmniej nie dla przeważenia szali „konfliktu". Dla zachowania miar, które nawet przy dzisiejszym tempie czasu nie zmieniają się z sezonu na sezon. Kiedyś — to dwadzieścia lat temu — w okresie zmiany obyczajowości seksualnej słyszało się jako dowcip takie odezwanie się córeczki: „Mamusiu, wyjdź do drugiego pokoju, to nie rozmowa dla ciebie" Coś takiego prolonguje się do „starszych panów" na terenie poezji. Młodzi swoje poglądy i powiedzenia stosowne w dziedzinie sportu, obyczaju, rozrywki (tu by właściwie cudzysłów) i życia towarzyskiego chcą przenieść w dziedzinę intelektu. I w tym się najzwyczajniej mylą. Bo na co jestem za stary? Na to, żeby zyskać pierwsze miejsce w biegu narodowym na przełaj. Na to, żeby okazać się atrakcyjnym dla licealistki. Na to, żeby zjeść dwa obiady na zapas, kiedy nie spodziewam się zdążyć do domu na kolację. Ale na to, żeby przeczytać wiersz i ustosunkować się do niego ze swego stanowiska czytelnika? Na to będą za stary dopiero kwadrans przed śmiercią.

„Za stary, nie rozumie". Mój Gerwazy, właśnie my możemy się z tego uśmiać. Jak dwa łyse konie. Nie biorę sprawy na odwrotkę i nie twierdzę, że przebijającym argumentem jest właśnie wcześniejsza data urodzenia, coś zawsze mają do powiedzenia kwalifikacje, ale jakże to: mniej rozumie ten, kto ma szerszą skalę porównawczą, kto ziawisk, studów, faktów i nazwisk w swoim czytelniczym życiorysie „zaliczył" więcej? Toż krytyczny czytelnik współczesnej poezji, wielu jej osiągnięć nie aprobuje właśnie przez to, że już dawno miały miejsce i już dawno zdążyły zwietrzeć. O czym młody nie wie, bo nie był świadkiem ani ich powstania, ani ich wietrzenia. I w błogosławionej niewiedzy robi „wynalazki" chwytów i środków już dawno nieaktualnych. Że może oczytany i przez to zdawać sobie sprawę z poprzedniego stanu poezji? Poezja to nie zbiór tekstów. Dzisiejszemu młodemu niedostępny jest Leśmian. Owszem, odbierze go. Jako dobrego poetę. Nie jako „metafizycznego wizjonera przyrody". Bo przyrody prawie już nie ma. A tej leśmianowskiej na pewno.

Osobliwe przeświadczenie: ci starzi tak szczelnie zamknięci są w swych skorupach, że ani przypuszczać, by byli zdolni zareagować na świeżość, nowość, inność. To przyjmijmy, że byli starcami w kołyskach! Oskarżenie nie widzi, że popełnia błąd psychologiczny, bo obecni starzy jako kiedyś młodzi nie mogli być pozbawieni zmysłu dla antystereotypowych — a nawet światoburczych — postaw artystycznych i coś z tego choćby na zasadzie serca dla własnej młodności zachowali. Tylko na tym polega węzina spojrzenia, czy może zwykłe odruchowo kota ogonem: ponieważ nie są przyzwyczajeni do pozy, mistyfikacji, fuszerki, odmawia się im orientacji. Nie mówi się: „to antypozerskie", lecz: „to stare".

Mój Gerwazy, nie muszę Ci przypominać, że jeśli chodzi o mnie, już jako dwudziestolatek wolałem Asnyka od Brzękowskiego. Jak sobie te „Nad obłokami" oceniałem, tak oceniałem, niech będzie, że za wysoko, można mieć swoje czytelnicze pomyłki. Ale wartość tej pozycji była w niej samej, nie w komentarzu. Jeśli się w końcu zniecierpliwiłem, to wiedziałem dlaczego lekturę zaniechałem. Natomiast niczego z „Na katodzie" Brzękowskiego nie byłem w stanie pojąć bez autorskiego objaśnienia. Tak więc staroświeckie „co poeta miał na myśli", trafiło do awangardzistów. I byłem zmuszony wierzyć poetom na ich pozapoetyckie słowo honoru.

Powtarzam: miałem dwadzieścia lat. Teraz chcą mi wmówić, że predylekcja do stylów i autorów jest kwestią nie gustu, lecz wieku. Podejrzewam, że właśnie nie czując się pewnie na terenie racji i dokonań artystycznych są tak zainteresowani dobrym świadectwem ze strony Urzędu Stanu Cywilnego. I takim argumentem stawiają starszych w sytuacji a priori przegranej. Bo jakakolwiek próba dyskusji, jakakolwiek propozycja wejścia w meritum z ich strony trafia na komentarz: „No tak, muszą się jakoś odmładzać". A jeśli dyskusji nie podejmują i konfrontacji nie proponują, to jeszcze lepiej: „A nie mówiliśmy? To przecież skamielina." Odpowiadał Sokrates: „Cokolwiek zrobisz, zrobisz źle." Ale to była porada matrymonialna, sprawa z mużą odbywa się w innych warunkach. Przypomnijmy choćby fakt, że ze wszystkich Staffów najmłodszy był Staff siedemdziesięcioszześcioletni. Autor nie „Łabędzia i liry", ale „Wikliny".

Wiem, że jeśli przez jakiś zbieg okoliczności ten list trafi znów do obcych rąk, zostanę posądzony o chęć zwaloryzowania mojego mandatu do rozumienia poezji. Nie zostanę też pozbawiony pewnych pouczeń, za które z góry dziękuję. Dziękuję, bo potwierdzą moją tezę, którą pragnąłem Ci przedstawić. Ale mam też i swoją satysfakcję: że młodzi piszący nie obejrzą się jak sami zostaną uznani z początku za lekko, później za całkiem „nieaktualnych". Jeśli powodem tej „nieaktualności" ma być sam przybytek lat. I wtedy na gwałt będą porzucali swoją jedną pozycję po drugiej, by się upodobnić do młodszych kolegów po piórze. Co do mnie, serdecznie im życzę, pomyślności.

Protazy

Oko-lice sztu-ki

Malarstwo nie bez powodu

Z MALARSTWEM Jana Hrycka zetknąłem się dwa lata temu, kiedy to na „Jesiennych Konfrontacjach" w Rzeszowie artysta otrzymał złoty medal, czyli główną nagrodę imprezy. Hrycek jest człowiekiem młodym, liczy sobie niewiele ponad trzydzieści lat, w momencie przyznania mu wspomnianej premii był malarzem raczej mało znanym, choć mającym za sobą udział w kilku poważnych wystawach ogólnopolskich i zagranicznych. Według owych „udziałów" trudno dziś przecież kogoś oceniać, jako że spośród niemal 9000 członków ZPAP przynajmniej 1000 chwali się w notach biograficznych eksponowaniem prac „w Warszawie, Wrocławiu i Szczecinie", wielu poza tym wystawiało za granicą, na przykład w instytucjach polonijnych, czy też zupełnie niepoważnych „galeriach", które udostępniają swoje ściany każdemu, kto zapłaci kilka franków lub dolarów. Warto o tym pamiętać, przeglądając noty biograficzne malarzy czy grafików.

No i Hrycek, artysta mało wtedy znany, otrzymał w Rzeszowie złoty medal — jednogłośną decyzją jury, w którym był m.in. Janusz Bogucki. Akcentuję ten moment, albowiem nagrody przyznaje się u nas z reguły nazwiskom. Tym razem było inaczej, zgodnie z naturą malarskiej rzeczy.

W maju Jan Hrycek przyjechał do Lublina na otwarcie swojej wystawy indywidualnej w BWA, gromadzącej obrazy z kilku ostatnich lat. Polecam te płótna uwadze tych wszystkich, którzy — jak to się mówi — wierzą w malarstwo, ale i tym, którzy skłonni są odsyłać tę technikę kreowania wartości artystycznych do lamusa środków jakby skompromitowanych przez różne media współczesnej komunikacji wizualnej. Swoją twórczością Hrycek przekonuje, że obraz może satysfakcjonować ludzką potrzebę doznań czysto zmysłowych, stanowiąc zarazem elastyczny punkt wyjścia do ogólniejszej refleksji o charakterze egzystencjalnym. Stosując często różne gradacje fioletu, czerwieni i błękitów, które rozkłada na szerokich płaszczyznach przecinanych jaskrawymi smugami bieli, z takiego oto materiału Hrycek buduje kompozycje dwuznaczne, skłaniające — po wyzwoleniu się z sugestii „czystej formy" — do swoistej i uważnej l e k t u r y obrazów, ich wcale nie prostej metaforyki. Używając słowa „lektura" chciałem tylko zwrócić uwagę na konieczność skupienia się przed tymi płótnami, w których nie ma śladu narracji, jest natomiast m a l a r s k i zapis intuicji artysty, związanych np. z wewnętrzną przestrzenią człowieka. Dotyczy ta uwaga właśnie obrazów „rzeszowskich", całkowicie mijając się z pracami o charakterze wyraźnie symbolicznym (szachownice), które dość ostentacyjnie tłumaczą swoje treści, co nie każdemu może trafiać do przekonania.

W jednym z obrazów Hrycka, w prawym górnym rogu, pojawia się swoisty cytat z pejzażu: dość realistycznie namalowane drzewa i krzewy. Ten fragment wyraźnie kontrastuje z pozostałą partią płótna, właściwie abstrakcyjną. W czym rzecz, dlaczego ten pejzaż ujęty w formule raczej nie stosowanej przez artystę pojawia się nagle? Wydaje się, że ów obraz jest kluczem do metody twórczej Hrycka, który — jak sam twierdzi — w procesie kreacji zawsze wychodzi od realnego, konkretnego zjawiska czy przedmiotu, stanowiących, mówiąc po staroświecku, źródło inspiracji artysty. Celem malarskiego działania nie jest więc z r o b i e n i e o b r a z u, pojmowanego jako byt autoteliczny, lecz przetłumaczenie na język malarski konkretnych doznań autora, często bardzo osobistych, związanych np. z sytuacją rodzinną. Zrozumiałe zatem, dlaczego tak przypadły do przekonania Hryckowi seanse publicznego malowania, także w nocy, przy świetle elektrycznym, w którym uczestniczył w Barcelonie.

Jan Hrycek ukończył PWSSP w Łodzi lat temu sześć. A studiował tkaninę artystyczną! Po szkole nigdy przecież nie zajmował się tą ciekawą, tak jest, ale żmudną, wymagającą damskiej cierpliwości dyscypliną. Poszedł w malarstwo i grafikę (linoryt), zainteresował się rzeźbą, wystawiając w łódzkim osiedlu okazałe, kilkumetrowej wysokości dzieło.

Nie ulega przecież wątpliwości, że właśnie w szkole pozbawionej wydziału malarstwa Hrycek otrzymał solidne podstawy pikturalnej organizacji. Powiem krótko: artysta przeszedł przez pracownię malarstwa, prowadzoną przez Stanisława Fijałkowskiego, pedagoga o niesłychanych wymaganiach. O poziomie i dobrych skutkach owej edukacji mogą świadczyć te płótna Hrycyka, w których delikatne odcienie zieleni, żółci i ochry składają się na dyskretne, wyrafinowane kompozycje — nie tyle form, co lirycznych sugestii.

IJK

P.S. Ponad 60 tysięcy zł przyniosła ogólnopolska aukcja malarstwa i grafiki, pokazana fragmentarycznie w programie telewizyjnym „Tylko w niedzielę" z 30 kwietnia br., a zorganizowana przez: Centralny Związek Spółdzielni Budownictwa Mieszkaniowego, redakcje „Sztuki", redakcję kulturalną TV, Wydział Kultury i Sztuki UW i Lubelską Spółdzielnię Mieszkaniową. Należy poza tym odnotować, że: publiczność dopisała, kolekcjonerzy prawie także, a jedna z kamer telewizyjnych przepaliła się na samym wstępie, co zmusiło red. Antoniego Dzieduszyckiego do zwielokrotnionego wysiłku sprawozdawczego i wywiadowczego. Najwyższą cenę osiągnął pejzaż utrzymany w konwencji znanej nam jakby z twórczości Wojciecha Gersona — bodaj 34 tysiące zł. Tak czy inaczej impreza — powtórka w Katowicach — okazała się pożyteczna i potrzebna. Fundując książeczki mieszkaniowe dla dzieci z tzw. rodzin zastępczych, propagując kolekcjonerstwo — aukcja okazała się ponadto dobrym testem upodobań estetycznych, funkcjonujących w społeczeństwie.

KĄCIK MALUCHA

Serce samochodu

POWIADAJĄ, że silnik jest sercem samochodu. Dlatego nigdy za dużo dbałości o ten zespół w naszym „maluchu". Dobrze jest od czasu do czasu otworzyć pokrywę i obejrzeć silnik. Lecz żeby coś zobaczyć, trzeba wpierw silnik umyć.

Temu celowi służy specjalny środek, raczej niedostępny na rynku. Pozostaje więc metoda chałupnicza. Nabywamy na stacji benzynowej ropę, zaopatrujemy się w pędzelek i ropą przemywamy zewnętrzne powierzchnie silnika; następnie wycieramy dokładnie. Można potem, zabezpieczywszy folią plastikową aparat zapłonowy, cewkę i świece — umyć silnik wodą z dodatkiem szamponu; i znowu wytrzeć do sucha.

Notabene aparat zapłonowy, cewka czy świece zalane wodą bardzo często uniemożliwiają rozruch samochodu. Dlatego warto kupić w sklepach prywatnych specjalne osłony otworów pokrywy silnika, uniemożliwiające przedostanie się deszczu.

Po umyciu i wysuszeniu silnika przeprowadzamy jazdę próbną i dopiero oglądamy silnik, zwracając przede wszystkim uwagę, czy nie ma wycieków oleju, głównie — spod pokrywy rozrządu i spod uszczelki miski olejowej... Zaolejenie jakiegokolwiek miejsca w silniku świadczy o nieszczelności i wymaga fachowej diagnozy w stacji obsługi. Niemniej musimy wpierw sami to stwierdzić, nie wahając się czasem i zajrzeć pod samochód.

W czasie oględzin silnika powinniśmy zwrócić uwagę na naciąg i stan paska klinowego napędu prądnicy. Boczna powierzchnia pracująca paska nie może być postrzępiona, rozwarstwiona lub popękana. Wożenie zapasowego paska w bagażniku jest obowiązkiem każdego kierowcy.

Miarą stanu silnika jest — w czasie jazdy — płynność przyspieszeń: szybkie wciśnięcie pedału „gazu" powinno powodować szybką i płynną reakcję silnika, bez szarpnięć i „kichania". Na drodze o poziomej, suchej i gładkiej nawierzchni nasz „maluch" z obciążeniem dwu osób (i przy dobrze rozgrzanym silniku) powinien dać się rozpędzić do szybkości maksymalnej — około 105 km/godz. na IV biegu. Inaczej powinniśmy wędrować do stacji obsługi.

A jeśli już znajdziemy się w warsztacie naprawczym, autoryzowanym zresztą, powinniśmy sobie zażyczyć pomiaru ciśnienia sprężania w silniku. Dokonuje się tego specjalnym przyrządem i przy rozgrzanym silniku. Kierowca amator powinien jedynie wiedzieć, że ciśnienie sprężania w prawidłowo działającym silniku wynosi około 8,2 kg/cm² w każdym cylindrze, a różnica między poszczególnymi cylindrami nie może przekraczać 0,2 kg/cm². Wyraźne obniżenie ciśnienia sprężania wskazuje na nadmierne zużycie gładzi cylindrów, tłoków, pierścieni tłokowych czy zaworów, a towarzyszy temu zazwyczaj spadek mocy silnika („dławienie" się pod każdą górką, niemożność osiągnięcia szybkości maksymalnej).

We własnym, niejako podwórkowym, zakresie powinniśmy też umieć sprawdzić luz zaworów, jeśli akurat uda nam się kupić szczelinomierz. Ze względu na zużywanie się elementów rozrządu kontrola luzu zaworów powinna się odbywać przynajmniej co 10 tysięcy kilometrów.

Kontrolujemy szczelinomierzem luz (odstęp) pomiędzy trzonkiem zaworu całkowicie zamkniętego a końcem dźwigni zaworu; wpierw, oczywiście, zdejmujemy pokrywę rozrządu razem z korkiem wlewu oleju. Przy prawidłowych odstępach blaszka szczelinomierza o grubości 0,20 mm dla zaworu ssącego i 0,25 mm dla zaworu wydechowego powinna wchodzić bez luzu, a nawet przy nieznacznym oporze.

Pomiaru dokonujemy przy zimnym silniku. Jeśli wychodzą wielkości nieprawidłowe, jedziemy na stację obsługi, gdzie nam wyregulują właściwe odstępy — byle także przy zimnym silniku, o co już sami musimy zadbać.

Operacja sprawdzania luzu zaworów ma i tę dobrą stronę, że zmusza nas do zdjęcia pokrywy rozrządu, stwarza więc okazję do obejrzenia uszczelki znajdującej się pod tą pokrywą. Uszczelka zwichrowana czy zdeformowana, wgnieciona powinna być wymieniona. Inaczej olej będzie wyrzucany na cały silnik i komorę silnikową.

Oczywiście, przy tym wszystkim zakładam, iż każdy właściciel „malucha" zapoznał się z instrukcją obsługi i wie, gdzie znajduje się silnik, pokrywa rozrządu, miska olejowa, aparat zapłonowy, cewka i tym podobne. Nie jest to chyba założenie przesadnie optymistyczne?

inż. Krzysztof B

Pro domo sua

ZWIĄZEK Literatów Polskich w Lublinie za cztery lata obchodzić będzie pięćdziesięciolecie swojego istnienia, więc Lubelski Oddział ZLP należy do najstarszych w kraju. Zakładali go w 1932 roku Józef Czechowicz i Franciszka Arnsztajnowa. Rok później Kazimierz Andrzej Jaworski powołał w Chełmie czasopismo literackie „Kamena", w którym wówczas i obecnie wielu pisarzy naszego i nie tylko naszego regionu, debiutowało i debiutuje. Po wojnie „Kamena", wychodząca już w Lublinie, stała się pismem Oddziału ZLP.

Ostatnio odbyło się sprawozdawczo-wyborcze zebranie Oddziału Związku Literatów Polskich, które podsumowało dorobek ostatnich trzech lat i podjęło postanowienia na przyszłość, wyłoniło nowy zarząd, a także przyjęło jednomyślnie rezolucję przeciwstawiającą się próbom wszczęcia produkcji i rozpowszechniania broni neutronowej.

W czasie minionej kadencji zmarł Zbigniew Jakubik. Oddział liczy obecnie 25 członków. Ostatnio zostali przyjęci: Tadeusz Czajka, Ryszard Jegorow, Marian Kawalko, Andrzej Kolaczkowski, Ryszard Kornacki, Bohdan Królikowski, Waldemar Michalski, Janusz Olczak i Matylda Wełna-Klonowiecka. Członkowie lubelskiego Oddziału oraz Klubu Młodych wydali w ostatnich trzech latach prawie pięćdziesiąt książek, w czym największe zasługi ma Wydawnictwo Lubelskie. Na walnym zebraniu podkreślano, iż środowisko literackie środkowo-wschodniego makroregionu otoczone jest coraz pełniejszą i skuteczniejszą opieką władz centralnych i wojewódzkich. Mocniej niż kiedykolwiek zacieśniło się współdziałanie ustępującego zarządu z władzami województwa lubelskiego, czego wyrazem było także i to, że gośćmi pisarzy byli: sekretarz KW PZPR Ewa Krajewska, kierownik Wydziału Pracy Ideowo-Wychowawczej Andrzej Szpringer i dyrektor Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego Mieczysław Białas. Istnieją także pomyślne horoskopy, gdy chodzi o kontakty z Białą Podlaską, Chełmem i Zamościem. Dotyczy to głównie współpartnerstwa w organizowaniu corocznego konkursu literackiego im. Bolesława Prusa i Józefa Czechowicza.

Szczególnie duże zasługi we wspieraniu młodej twórczości, poza Wydawnictwem Lubelskim, ma Wydział Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego w Lublinie. Do inicjatyw Oddziału ZLP dołącza obecnie Towarzystwo Miłośników Lublina. Natomiast zbyt mała jest jeszcze współpraca literatów ze środowiskiem robotniczym. Konieczne jest tu pośrednictwo Wojewódzkich Rad Związków Zawodowych na obszarze objętym działaniem Oddziału ZLP.

Oddział Związku Literatów Polskich wciąż się rozrasta, a skupione przy nim, przy ZW ZSMP i wyższych uczelniach środowiska młodoliterackie są wyjątkowo liczne i utalentowane, co gwarantuje dalszy rozwój lubelskiej organizacji pisarskiej. Twórczość jest coraz bogatsza, tymczasem łamy czasopism są wciąż takie same. Nic też dziwnego, że na walnym zebraniu obszernie dyskutowano także i o tej sprawie, nie pomijając niektórych ujemnych aspektów polityki redakcyjnej środków masowego przekazu, szczególnie telewizji, a także krytykowano hermetyczność zespołów redakcyjnych czasopism. Wypowiadano się za rozszerzeniem miejsca dla literatury w lubelskich dziennikach, „Kamenie" oraz Rozgłośni „Polskiego Radia i Telewizji", szczególny akcent położono na lepsze wymodelowanie pisma Oddziału Związku Literatów, głównie jeśli chodzi o krytykę literacką, dyskusje i spory żywo obchodzące pisarzy. Postulaty te znalazły zrozumienie wśród przedstawicieli władz, gościących na walnym zebraniu. Pozytywnie oceniono inicjatywę powołania przy Oddziale ZLP i „Kamenie" wspólnej podstawowej organizacji partyjnej.

Wiele miejsca w dyskusji poświęcono też warunkom socjalno-bytowym członków Związku i Koła Młodych Pisarzy, uznając jednak, że dzięki mecenatowi instytucji państwowych oraz partyjnemu poparciu są one w zasadzie dobre, wymagają jedynie pewnych korekt.

Do nowego zarządu weszli: Henryk Pająk jako prezes, Maria Bednczyc-Rudnicka — wiceprezes i Zbigniew Strzałkowski — sekretarz (wszyscy ponownie) oraz Tadeusz Jasiński — skarbnik i Józef Zięba — opiekun Koła Młodych. Przewodniczącym komisji rewizyjnej został Stefan Wolski, a jej członkami Matylda Wełna i Waldemar Michalski.

Podjęta na zebraniu rezolucja głosi: „My, członkowie Lubelskiego Oddziału Związku Literatów Polskich, w trosce o podstawowe prawo człowieka do życia w pokoju, dołączamy się do rezolucji XX Zjazdu ZLP w Katowicach i wraz z całym społeczeństwem polskim wyrażamy głębokie zaniepokojenie z powodu nagromadzenia wszelkiej broni nuklearnej, a w szczególności zamiaru produkcji broni neutronowej.

Żaden humanista nie może przyjąć wersji o rzekomym humanitaryźmie i czystości przygotowanego narzędzia zabijania.

Nowym zamiarem wprowadzenia powszechnego niepokoju i zagrożenia całej ludzkości, my — pisarze polscy, zrzeszeni w Oddziale Lubelskim Związku Literatów Polskich — mówimy N I E!"

JAS

KALEJDOSKOP

Lekceważenie

W maju przyszła do lubelskiego „Polmozbytu" partia (pierwsza — jak dotąd) „maluchów" w wersji inwalidzkiej. Samochody są zaopatrzone w specjalne urządzenie, umożliwiające jazdę osobom z niedowładem kończyn dolnych. Chwała polskiemu przemysłowi, że wyprodukował takie pojazdy. I chwała lubelskiemu „Polmozbytowi", iż sprzedawał je bardzo sprawnie, szybko i uprzejmie, udzielając wyczerpujących informacji przyszłym użytkownikom, czego byliśmy świadkami. Wszak pracownicy „Polmozbytu" musieli wpierw we własnym zakresie odkrywać działanie dodatkowych („inwalidzkich") urządzeń samochodu, albowiem producent (FSM) nie pokwapił się, by dołączyć dodatkową instrukcję określającą funkcjonowanie owych urządzeń. Skandaliczne lekceważenie handlowca i klienta, a klientowi takiemu należy się specjalna troska!

Troska o „klienta"

Tylnymi drzwiami jednego ze sklepów mięsnych na LSM wychodzą pojedyńczy „klienci", niosąc jakieś pokaźne pakunki, gdy tymczasem w sklepie bywakuje tłum, który wszedł przednimi drzwiami. Nie wiemy, co znajduje się w paczkach wynoszonych od tyłu. Natomiast można stwierdzić, że obywatele, korzystający z usług tego sklepu, dzieli się na „klientów" i tłum — indywidualne osobistości i bezimienną tłuszcze. Ostatnio sprawa uległa zmotoryzowaniu i posiadamy numer rejestracyjny trabanta, którym spod tylnych drzwi sklepu odjechał „klient" z pakunkiem. Oczywiście, numerem sklepu również dysponujemy na życzenie. Tylko że kogo to specjalnie zainteresuje?

Panienkom z międzymiastowej

Pod numerem telefonicznym 611-22 w Lublinie (kierownik ruchu centrali międzymiastowej) uzyskaliśmy następującą informację: można obywatela połączyć z innym miastem w sprawach służbowych z aparatu prywatnego, a rachunek za tę rozmowę wystawić dla instytucji, w której obywatel pracuje i w imieniu której telefonuje; łącząca telefonistka musi tylko o d r ę k i sprawdzić, czy instytucja zgadza się na przyjęcie takiego rachunku. Tę cenną informację dedykujemy panienkom z międzymiastowej!

Joanna czy Janina?

W cyklu „Spotkania aktorskie", „Sztandar Ludu" z 29—30 kwietnia przedstawił laureatkę II Festiwalu Widowisk i Polskich Filmów Telewizyjnych w Olsztynie...? Szczepkowską. Znak zapytania stąd, że w tytule wywiadu ma ona na imię Joanna, natomiast w podpisie pod zdjęciem — Janina.

Nie kolujmy się

Oglądaliśmy niedawno w kinie „Wyzwolenie" cieszący się dużą frekwencją „Port lotniczy??". W pewnym momencie na ekranie pojawił się napis, którego interesujący fragment cytujemy: „...koloj do pasa...". Napisy tłoczono w Łódzkich Zakładach Kopii Filmowych. Zdaje się, że ktoś chciał tu kogoś wykolować.

Biblioteka na Polu Mokotowskim

Na nasze pytanie „Gdzie ta Biblioteka?" („Kalejdoskop", „Kamena" nr 9) odpowiedział „Sztandar Ludu" z 29—30 kwietnia w artykule „Narodowa książnica". A więc lublinianie dowiedzieli się, że siedziba Biblioteki Narodowej będzie mieściła się na Polu Mokotowskim w Warszawie.

Biją dzwony, ale...

Notatka „Najstarsze stacje meteorologiczne" z „Kuriera Lubelskiego" z 29—30 kwietnia br.: „Stałe obserwacje meteorologiczne oparte na naukowych podstawach rozpoczęto w Polsce już przed 200 laty. Pierwsza stacja rozpoczęła działalność w 1779 roku w wieży Zamku Warszawskiego. Później, tj. na początku XIX wieku, badania takie prowadzono w Obserwatorium Astronomicznym Uniwersytetu Warszawskiego. W 1791 r. rozpoczęto obserwacje meteorologiczne we Wrocławiu, a w 1807 r. w Gdańsku. Następnie stacje meteorologiczne rozpoczęły działalność w innych miastach". Jest w tym ziarnko prawdy, ale tylko ziarnko. Pierwsze instrumentalne obserwacje meteorologiczne rozpoczęto w Warszawie przed ponad 320 laty, bowiem na przełomie lat 1654—1655, w ramach tzw. florentyńskiej sieci meteorologicznej, zorganizowanej przez Ferdynanda II, wielkiego księcia toskańskiego. Stacja, o której mowa w notatce, rozpoczęła działalność w r. 1778 (a nie w 1779), natomiast kolejna — przy Warszawskim Obserwatorium Astronomicznym — powstała 20 listopada 1823 r. Wcześniej, w ostatnim ćwierćwieczu XVIII wieku, pracowały w różnych okresach stacje w 30 miastach polskich, między innymi w Gdańsku, Krakowie, Toruniu, Wrocławiu, Zaganiu.

ekran i widz

Duet komediowy

W JEDNYM z ostatnich numerów miesięcznika „Kino" poświęcono sporo miejsca omówieniu twórczości jednego z najciekawszych współczesnych twórców amerykańskiej komedii filmowej, Woody Allena. Dobrze się stało, bo u nas sylwetka tego aktora i zarazem reżysera filmów, w których kreuje główne role, jest właściwie zupełnie nieznana. Przez polskie ekrany telewizyjne przemknął jedynie debiutancki film Allena — „Bierz forsę i w nogi", nakręcony jeszcze w 1969 r., żaden z następnych pięciu filmów młodego reżysera nie zagościł w naszych salach kinowych. *Świat braci Marx już zapomnianych, Jerry Lewisa już zapomnianego, Jacquesa Tatiego będący legendą, znalazł w Woody Allenie kontynuatora* — pisał Józef Gębski w artykule: „Woody Allen — wariat czy poeta?" A Wanda Wartenstein dodawała w innym miejscu: *Nie znajdziemy w nim niezachwianej ufności Chaplina w trwałość porządku moralnego ani wiary Keatona w zwycięstwo człowieka nad materią, ani nawet przekonania braci Marx o absurdzie świata. Śmiech Allena wypływa ze smutnej wiedzy o ludzkiej samotności, samotności w wielkim mieście.*

Bywa Allen zarówno liryczny, niejednokrotnie żałosny, jak i pełen błyskotliwej, złośliwej autoironii aby po chwili przekształcić się w małego, niepewnego siebie człowieka, bezskutecznie usiłującego odnaleźć swoje miejsce w życiu i w społeczeństwie.

W ostatnich latach partneruje mu Diana Keaton stanowiąca jakby przeciwstawienie Allena — wysoka, szczupła blondynka o porywającej urodzie. A przy tym obdarzona jest nie mniejszym od Woody Allena talentem komediowym. Dowiodła tego w kolejnych jego filmach — „Spiochu", „Miłość i śmierć" i wreszcie, w zrealizowanej w 1978 r. „Annie Hall", która w kwietniu tego roku odniosła wielki sukces otrzymując aż cztery Oscary. Tym filmem znakomita para aktorska ugruntowała ostatecznie swoją pozycję artystyczną i... rynkową.

„Annie Hall" jest właściwie filmem autobiograficznym. Opowiada historię pięcioletniego związku zdolnego młodego scenarzysty i „tekściarza" estradowego pełnego wewnętrznych rozterek, co do wartości swej twórczości i wyboru drogi życiowej, oraz pięknej dziewczyny pełnej kompleksów, wśród których jednym z najsilniejszych jest przekonanie o własnej głupocie i niepełnowartościowości. Potrzebni sobie wzajemnie, nie będą mieli jednak dość siły i odwagi, aby zdecydować się na sensowne, wspólne dalsze życie.

Podobnie rzecz się miała z Dianą Keaton i Woody Allenem. Stający obecnie u szczytu powodzenia reżyser od młodych lat imał się prawie wszystkich dziedzin sztuki, będąc już to muzykiem jazzowym, już to autorem poczytnych książek i humorystycznych artykułów zamieszczanych w słynnym „New Yorkerze", wymyślał skecze i gagi dla znanych aktorów estradowych. Przerzucał się z telewizji do filmu i z powrotem, aby ostatecznie nigdzie długo nie zagrzać miejsca. Na uroczystość wręczenia Oscarów nie zjawił się. W tym czasie ostentacyjnie grał na klarnecie w małej jazzowej orkiestrze po drugiej stronie kontynentu amerykańskiego.

Przybyła natomiast do Hollywood — niepomna swych autentycznych jak i filmowych kompleksów — Diana Keaton. Opromieniona dodatkowo ostatnią rolą w filmie Richarda Brooksa — „W poszukiwaniu Mr Goodbara", gdzie gra dziewczynę „wyzwoloną", o dwoistej osobowości. W dzień Teresa jest przykładną nauczycielką w zakładzie dla głuchoniemych dzieci, nocą wyrusza w swoisty rajd po nocnych lokalach w poszukiwaniu przygód erotycznych. Zachodnia prasa uderzyła w wielki dzwon, podkreślając to nowe wcielenie Diany Keaton, która — jak się przypomina — jeszcze nie pełna dziesięć lat temu, zanim odkrył ją Woody Allen, odmówiła rozebrania się podczas występów w musicalu „Hair". Natomiast ostatnio... (!). Francuski tygodnik kobiecy „Elle" wysłał nawet z okazji premiery paryskiej „W poszukiwaniu Mr. Goodbara" swoją reporterkę do

Diana Keaton i Woody Allen

Nowego Jorku, która wykonała tam rajd po nocnych lokalach „dla samotnych" — niejako „szlakiem filmowej Teresy". Pisze się teraz całe — mniej lub bardziej łzawe — opowieści o wspólnym życiu Diany i Allena oraz o tym, jak wyzwolona z kręgu reżyserskiej osobowości swojego partnera aktorka powraca jednak na plan jego następnych filmów, aby w ten właśnie sposób tym bardziej dowieść swej artystycznej niezależności i osobowości itp. itd. Jedno w każdym razie nie ulega wątpliwości: tych dwoje ludzi miało w ciągu ostatnich kilku lat ogromny wpływ na siebie i każde z nich przyczyniło się do rozwoju twórczej osobowości partnera. Woody Allen umiał odkryć dla filmu postać i nieprzeciętną vis comica Diany Keaton, ta zaś — wbrew swemu wcieleniu w „Annie Hall" — sprawiła, że humor Allena nabrał bardziej finezyjnego, bardziej intelektualnego poloru.

M. D.

POCZTA literacka

I. S. Sandomierz. Nie powiem, że wiersze nie posiadają pewnych własności sugestywnych, ale to wszystko jest w akustyce kameralnej, jakby obliczone na to, że jedynym czytelnikiem będzie sam autor. W tej liryce jest więcej intymnego wyznania, niż tzw. zobiektywizowanych wartości artystycznych. Rzecz z tym, by nie odchodząc od siebie jako autora zbliżyć się do kogoś jako czytelnika. A przede wszystkim: impuls uczuciowy ma być tylko pretekstem do przekazu treści wychodzących poza jednostkowe doznanie.

G. W. Lublin. Poprzednia proza była za bardzo rozwlekła, opisywacka i przez to nieco staroświecka. Teraz widzę u Pana skłonność do kondensacji, rezygnację z powielania zdań nie zawsze dla opowiadania znaczących. To dobry objaw. Myślę, że wkrótce będziemy mieli możność porozmawiać przy tekstach znacznie ciekawszych, więcej satysfakcjonujących również samego autora. Teraz z pewnością Pan widzi, że tamto nie dawało Panu pełnego zadowolenia.

R. C. Biała Podlska. Widać, że pisze to Pani od siebie. W tym znaczeniu, że brak oczytania, doświadczeń warsztatowych — to się daje odczuć — nie przeszkadza Pani w formowaniu własnej wypowiedzi. Dobrze. Znaczy, że późniejsze nabycie sprawności technicznych trafi na istniejący już system orientacji, stanie się środkiem dla już posiadanego celu. Nie chcę Pani zdemobilizować przedwczesną aprobatą, ale wydaje mi się, że z tych prób coś ciekawego powinno wyniknąć. Tylko przestrzegam przed niecierpliwością. Czasem jest dobrze, by owoc trochę dłużej podojrzewał na drzewie.

Z. T. Łódź. Jestem zawsze w tym położeniu, że zarzuca mi się (czasem milcząco, czasem słowami) niedotarcie do intencji autorskich. Cóż na to poradzę. Zresztą piszącym zawsze należy przede wszystkim na tej postaci uznania, jaką jest druk. Ale muszę powiedzieć, że czegoś mi w tych liryskach brakuje. Jakoś te wiersze nie komponują się w skończony kształt. Trochę jak niedokończone rysunki. Właściwie każdy tekst mógłbym skończyć w połowie, a jego wymowa nie uległaby zmianie. Może za szybko z kartką papieru chce się Pan rozstać?

S. O. Lublin. Tak, ale satyra nie może mówić rzeczy oczywistych, choćby najbardziej na czasie, choćby potrzebnych jako propozycje społeczne. Musi ośmieszać. Musi „iść w pięty". Jest to bardzo trudny gatunek literacki przede wszystkim przez postulat natychmiastowej skuteczności. Satyra, która rozśmiesza po długim namyśle, zazwyczaj nie ma w sobie siły komicznej, a jej pozytywne przyjęcie bywa ustępstwem ze strony czytelnika. Trudno i darmo. Na taryfie ulgowej satyryk utrzyma się zawsze najkrócej.

B. C. Gdańsk. Nie mogę powiedzieć, że opowiadanie mi się nie podobało. Jest napisane zręcznie, ma pewien pierwiastek humoru. Ale nie zostałem ujęty całkowicie. Nie ma tam tego, co się na ogół określa mianem perspektywy filozoficznej. Mam wrażenie, że Pan zademonstrował sprawność pióra, ale co chce Pan „wycisnąć" z przedstawionych sytuacji, nie bardzo widać. Teza, coś do przemyślenia — oto co trzeba włożyć w tekst.

P. W. Wałbrzych. Wiersz na temat ochrony przyrody ma słuszną myśl, nie ma jednak wystarczająco chwytliwej formy literackiej, dlatego podtrzymując „prośbę kwiatów i roślin" nie jesteśmy w stanie przedstawić jej za pośrednictwem druku.

R. O. Radom. Wiersze mają pewien podwiek muzyczny, ale równocześnie obciążenie anachronizmami tymi drugiego, a nawet piątego sortu. Czytają się nieźle komuś, kto na tej podstawie może ewokować swoją czytelniczą młodość, ale jako wartość na dzisiejszym rynku poetyckim nie liczą się. Cóż, przez te ostatnie pół wieku coś się zmieniło.

F. C. Sieniawa. „Z oddali" razi łatwą malarskością i określeniami nie wymagającymi wysiłku. Już znacznie lepiej jest z „Motywem", w którym jednak brakuje mi pewnego pobrzęku muzycznego. Może wydziwiam, może chcę poprawić autora, do czego czytelnik nie ma prawa, ale czasem w tym wspólnym pochyleniu się nad tekstem ta druga strona ma jakąś rację. Dobre: „deszczpiami głos, tworzy zacieki na brzmieniu".

R. S. Lublin. Przygnębia ta przygnębiona postawa. Poezja, która daje człowiekowi bezradność jest nie do przyjęcia. Coś trzeba ocalić (Gałczyński), wykonać zamach (Przybos), zdobyć się na skok barbarzyńcy (Tuwim). Nawet katastrofizm widział wartości pozytywne: mobilizujący gniew wobec przemocy świata. Nie proponuję zmiany filozoficznej orientacji, bo tej się nie wybiera, ale wydaje mi się, że sam fakt celnego trafienia w słowo — jeśli ów fakt się zdarza, a w Pana wypadku to zachodzi — powinien dawać siłę twórczą niezależnie od tego, że to słowo może mówić o smutku i melancholii. Ale to temat nie na kilka zdań.

J. K. Rzeszów, S. M. Tomaszów Mazowiecki, W. T. Radom, R. C. Gdańsk, P. O. Bydgoszcz, R. D. Ostrołęka — nie skorzystamy.

KRZYŻÓWKA (nr 11)

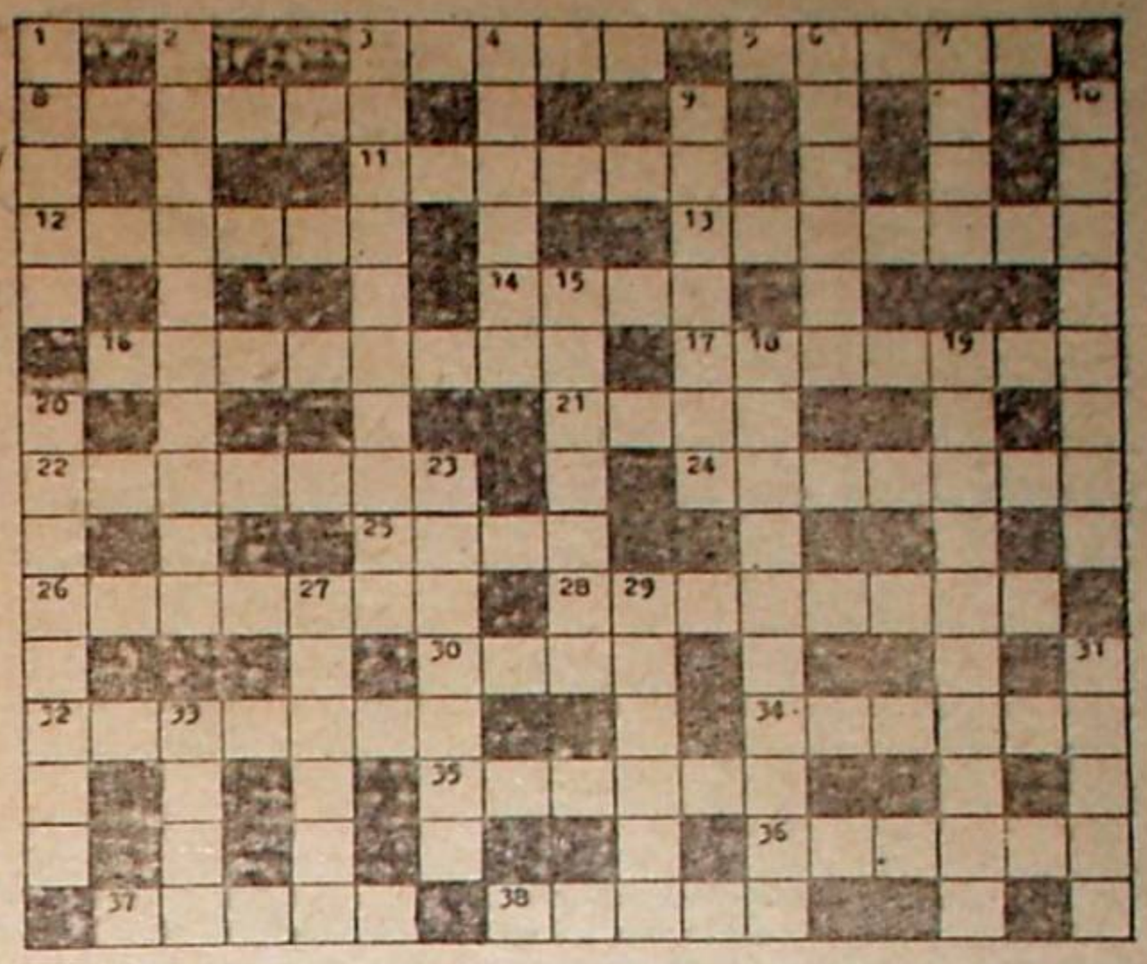

Poziomo: 2. ludowy instrument z miechem szorstkim, 5. krótki utwór sceniczny, 8. miasto woj. słupskim znane z walki o polskość, 11. część świata, 12. przyjęcie czegoś, 13. ukazuje się raz na rok, 14. rzeka graniczna, 16. pisywał razem z Boguszewską, 17. staroegipski bóg — opiekun żeglarzy, 21. przyjaciel d'Artagnana, 22. jedna z dziewcząt z Nowolipek, 24. chwast używany na jarzynę, 25. bożek, 26. współwłaściciel znanej firmy wydawniczej w Polsce międzywojennej, 28. ręcznie napędzana prądnica, 30. piekarski surowiec 32. twórca filozofii hedonistycznej, 34. działo, 35. najbliższy wstępny, 36. owoc mięsisty z wieloma pestkami, 37. magazyn, 38. Berynowa.

Pionowo: 1. sąsiad Anglika, 2. popularny obecnie pisarz emigracyjny, 3. ukazuje się co trzy miesiące, 4. wielki kompozytor węgierski, 6. więzienie w więzieniu, 7. władca Tatarów, 9. noś i przy pogodzie, 10. państwo w Azji południowo-zachodniej, 15. chochlik, zły duszek, 18. ubezpieczenie, 19. nakłaniający do popełnienia czynu zakazanego, 20. wyciąg, eseneja, 23. sanatorium płucne pod Włodawą, 27. twórczość literacka z przytykami, 29. ważna część rakiety tenisowej, 31. słynny film o powstaniu warszawskim, 33. dynastia angielska panująca w II połowie XV wieku.

Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (skr. poczt. 231 20-950 Lublin). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy bony książkowe.

Rozwiązaniem szyfrogramu z Nr 9 był fragment wiersza K. I. Gałczyńskiego:

„Idzie pochód ulicami świata.
Nowe czasy skrzą się na sztandarach.

Samoloty lecą i gołębie,
trąbi wiatr. A słońce złoci czerwień.

Szumią flagi na domach i mostach.
Idzie pochód „a z pochodem wiosna".

Za prawidłowe rozwiązanie szyfrogramu nr 9 bony książkowe po 40 zł każdy wylosowali: Anna Wilczyńska 24-200 Bełżyce, Lubelska 78 s/3, Krzysztof Szczepański, 22-200 Kraśnik, Szewska 13, Barbara Skalska 20-068 Lublin, Leszczyńskiego 34/9, Józef Szacon 20-112, Lublin, Złota 2/8.

Listy do kameny

20 ZA SZKLANKĘ

8 maja miałem przyjemność jechać „wesołym pociągiem", sunącym z Zagórza do Warszawy. Jego wesołość polegała na tym, że w Przemyślu maszynista odmówił dalszego prowadzenia lokomotywy. Dlaczego, nie wiem, nie udało mi się dowiedzieć, bo na PKP obowiązuje tajemnica służbowa. Tak czy inaczej nasz wesoły pociąg dotarł do Przeworska z niemal 50-minutowym opóźnieniem, które — trzeba to przyznać — nadrobił co nieco na trasie do Lublina. Nastrój maszynisty udzielił się, niestety, obsłudze tego przedziwnego zjawiska polskich kolei jakim jest bufet „Warsu". Kiedy bowiem poprosiłem herbatę i chciałem ją zabrać do przedziału, bufetowy zażądał 20 zł kaucji — pod warunkiem, że zrezygnuję z łyżeczki. „A jeśli wezmę z łyżeczką?", zapytałem mistrza. „To zostawi pan kaucję w wysokości 38 zł", usłyszałem w odpowiedzi. Moje zdumienie pokwitowano uwagą, że ani szklanek, ani łyżeczek nie można dostać w sklepach, więc wysoka kaucja chronić ma „Wars" przed utratą sprzętu. Absurdalność wymagań, fakt, że nos w nos zetknąłem się oto z fenomenem ekonomiczno-prawnym — to wszystko nie zbiło mnie jakoś z tropu. Nic mnie już właściwie nie może zaskoczyć od czasu, kiedy to kelner renomowanej restauracji napluł mi do talerza. A zatem poszedłem dalej po prośbie domagając się herbaty bez cukru, który działa na mnie zbyt krzepiąco. Otrzymałem, co chciałem — ale za 5 zł, czyli za tyle, ile kosztuje herbata z cukrem. Na moje wątpliwości dotyczące trafności wyceny — więcej kosztuje tyle samo co mniej? — bufetowy odparł, że w cenniku figuruje tylko herbata z cukrem. Wyprowadziło to mnie nieco z równowagi i poprosiłem o książkę zażaleń. „Nie ma", uciął krótko bufetowy. Wróciłem do przedziału, aby napisać ten list do „Kameny", co jednak nie zaspokoiło mego pragnienia. Dobrze mi tak, wszak zawsze trzeba pamiętać, iż kolej i „Wars" same ustanawiają prawa i plany, a pasażerowie służą tylko do sprawdzenia podjętych przez te instytucje decyzji. Naturalnie, wynik owej weryfikacji nikogo nie obchodzi.

Jan Kamiński
Lublin

ZIEMSKI W USTCE

Byłam niedawno w Ustce, gdzie na skwerach tego miasta zobaczyłam ciekawe rzeźby, wykonane z żywic syntetycznych. Dowiedziałam się później, że prace te stanowią rezultat pleneru rzeźbiarskiego, w którym uczestniczył m. in. plastyk lubelski, Jan Ziemski. Odszukałam jego dzieło i z satysfakcją informuję, że należy do najciekawszych, jakie postawiono w Ustce. Może to śmieszne, ale na pewno przyjemne spotkać daleko od rodzinnego miasta coś, co budzi powszechne uznanie.

Małgorzata Prońko
Kraków

KORTY I BASENY

Po słabym sezonie Wojciech Fibiak znów mistrzem świata (WTC) w tenisowym deblu! Można mieć nadzieję, że sukces naszego zawodnika wzmocni tempo budowy nowych kortów w Polsce, które jakby ostatnio zmalało, może w związku z niepowodzeniami naszego tenisisty. W Lublinie, na przykład, poza obiektem „Budowlanych" przy ul. Zana i kortami w dzielnicy uniwersyteckiej, które ostatnio nieco zmodernizowano (stawiając przy okazji szpetny mur), miejsc do gry w tenisa właściwie nie ma. Jest więc lepiej, niż beznadziejnie.

Ale rzeczywiście beznadziejnie jest z basenami o które także „Kamena" walczyła swego czasu. Zbliża się lato, a lublinianie mogą się pluskać tylko w Zalewie Zemborzyckim — niestety, ciągle jeszcze grząskim i brunatnym. Mówi się, że baseny mają powstać na LSM i gdzieś jeszcze, ale rzadko wymienia się konkretne terminy uruchomienia i oddania do użytku tych potrzebnych inwestycji. I jeszcze jedno: jak to się dzieje, że w NRD, na Węgrzech czy w Czechosłowacji w każdym większym mieście jest po kilka basenów?!

Wydaje mi się, że tylko pojawienie się jakiegoś Fibaka polskiego pływania mogłoby spowodować powstanie w kraju licznych basenów.

Czekajmy zatem.

Jan Koleśny
Lublin

Pismo Lubelskiego Oddziału Związku Literatów Polskich
Założyciele Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski

Redaguje zespół: Maria Bechczyc-Rudnicka, Jerzy Dostatni (sekretarz redakcji), Tadeusz Gwardak (z-ca red. naczelnego), Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Zygmunt Mańkowski, Zygmunt Mikulski (kierownik działu literackiego) — członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Mirosław Derecki, Tadeusz Jasiński, Ireneusz J. Kamiński (kierownik działu publicystycznego) i Maciej Podgórski. Redaktor techniczny — Irena Komosa, korektor — Ewa Dybek.

Prenumerata na kraj przyjmują Oddziały RSW „PRASA—KSIĄŻKA—RUCH" oraz urzędy pocztowe i doręczyciele — w terminach:
— do 25 listopada na styczeń, I kwartał, I półrocze roku następnego i na cały rok następny,
— do dnia 10 miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty na pozostałe okresy roku bieżącego.
Cena prenumeraty rocznej — 78.—

Jednostki gospodarki uspołecznionej, instytucje i organizacje społeczno-polityczne składają zamówienia w miejscowych Oddziałach RSW „PRASA—KSIĄŻKA—RUCH".

Zakłady pracy i instytucje w miejscowościach, w których nie ma Oddziałów RSW oraz prenumeratorzy indywidualni, zamawiają prenumeratę w urzędach pocztowych lub u doręczycieli.

Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę, która jest o 50% droższa od prenumeraty krajowej przyjmuje RSW „PRASA—KSIĄŻKA—RUCH" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto PKO nr 1531-71 w terminach podanych dla prenumeraty krajowej.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty. Kierownik działu literackiego przyjmuje interesantów w poniedziałki i piątki w godz. 14—16.

Wydawca RSW „Prasa—Książka—Ruch" Lubelskie Wydawnictwo Prasowe, Lublin, ul. Jasna 6. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, Unicka 4. Zam. 1401.

Numer łamał Mieczysław Pejek, drukował zespół pod kier. Wacława Kopcia

Nr indeksu 36251

Adres redakcji 20-029 Lublin, ul. Skłodowskiej 2/1

Telefony: sekretariat, redaktor naczelny 255-93, sekretarz redakcji 218-93, z-ca red. nacz., dział publicystyki i literacki 275-35

Korespondencje zwykłe prosimy kierować pod adresem: 20-950 Lublin 1, skrytka pocztowa 231; polecone i ekspresowe — pod adresem redakcji.

czyt. 2552/1978/11

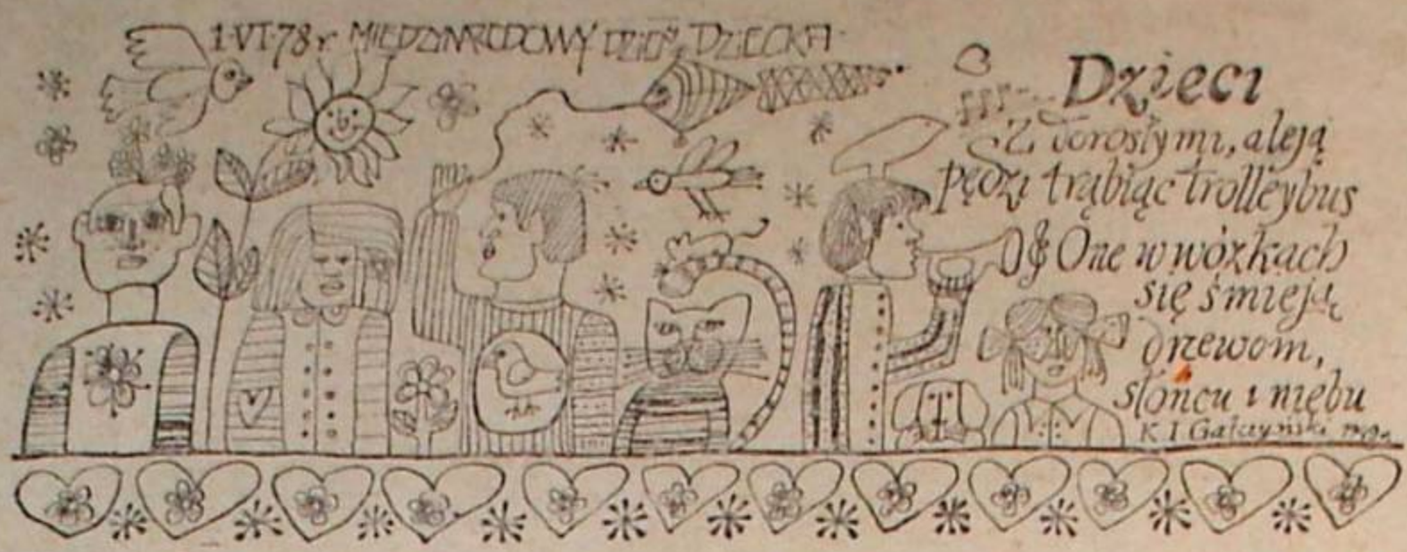

Rys. A. Kot

Na ogólne życzenie odwracamy nos

Mówi WASZ SPRAWOZDAWCA

Już niedługo nasza reprezentacja piłkarska rozegra w Argentynie swój pierwszy mecz, a na ekranie telewizorów pojawi się WASZ SPRAWOZDAWCA. Ponieważ jest on roztargniony i często gubi okulary, będzie często miał odmienny pogląd na wydarzenia widziane na ekranie. Uprzedzając naszych czytelników o tym, podajemy stosowną tabelkę, gdzie pierwsza rubryka oznacza fakt widziany na ekranie, a druga komentarz WASZEGO SPRAWOZDAWCY.

a) Przeciwnik znalazł się na spalonym	Brawo sędzia
b) Na spalonym znalazł się Polak	Niestety, i najlepszym sędziom zdarzają się kiksy
a) Przeciwik kopnął naszego	Ten chuligański wybryk wymaga srogiej kary!
b) Nasz kopnął przeciwnika	Piłka nożna jest grą męską...
a) Przeciwnik leży na ziemi i wije się z bólu	Ci południowcy słyną z takich teatralnych gęstów!
b) Polak leży na ziemi i wije się z bólu	Doprawdy brak mi słów potępienia takiego...
a) Przeciwnik zagrał ręką	Kolego, to nie siatkówka!
b) Polak zagrał ręką	Ja nigdy nie krytykuję sędziego, ale teraz muszę to zrobić...
a) Sędzia zarządził rzut karny dla przeciwnika	I znowu sędzia dał się nabrać!
b) Sędzia zarządził rzut karny dla Polaków	Była to decyzja jedynie słuszna.
a) Przeciwnicy zdobyli bramkę z karnego	I w ten właśnie sposób wynik spotkania został wypaczony.
b) Bramkę z rzutu karnego zdobyli nasi	A więc sprawiedliwości stało się zadość!
a) Przeciwnik uderzył naszego pięścią	Dla takich nie może być miejsca na stadionie!
b) Nasz uderzył przeciwnika pięścią	Nasz dzielnie walczący Adaś wszedł w bezpośredni kontakt z przeciwnikiem
a) Przeciwnik otrzymał żółtą kartkę	A więc męska, zdecydowana decyzja sędziego!
b) Żółtą kartkę otrzymał nasz zawodnik	Ja doprawdy nic tutaj nie widziałem...
a) Przeciwnik zostaje usunięty z boiska	To musiało się skończyć tylko w ten sposób.
b) Z boiska zostaje usunięty Polak	Nad stadionem zapadają, proszę państwa, powoli ciemności, a więc żegna was WASZ SPRAWOZDAWCA.

Paweł

Drobnym śrutem

Dziwne, że wtedy ludzie zaczynają nawzajem się żreć, gdy są już dla siebie niesmaczni.

■

Jest dyskretny: nawet, gdy mówi do innych „Mam was gdzieś" — to nie ujawnia gdzie.

■

Niejedna jest tak przesadnie zazdrosna, że zazdrości innej zazdrosnego męża.

■

Liczą się z jego zdaniem. Ale tylko w tych momentach, gdy popiera ich zdanie.

Marian Kaczmarczyk

SATYRA RUMUŃSKA

Rys. K. Ciosu

DONIESIENIA

Na pytanie zadane młodemu poecie lubelskiemu na temat weny twórczej uzyskano następującą odpowiedź:

— Aby napisać własny utwór, należy do perfekcji opanować cudze.

■

Przez pół roku, na trwającym dla kolejarzy kursie, wykłady rozpoczynano z 15-minutowym opóźnieniem

Myślą przewodnią kursokonferencji była poprawa punktualności kursowania pociągów pasażerskich.

■

— Czemu pan nie chodzi do teatru, młody człowieku?

— A można tam coś zarobić?

RAD

Uwaga: Zapowiedziane w poprzednim numerze ważne informacje z pierwszej ręki wymagają dokładniejszego sprawdzenia.

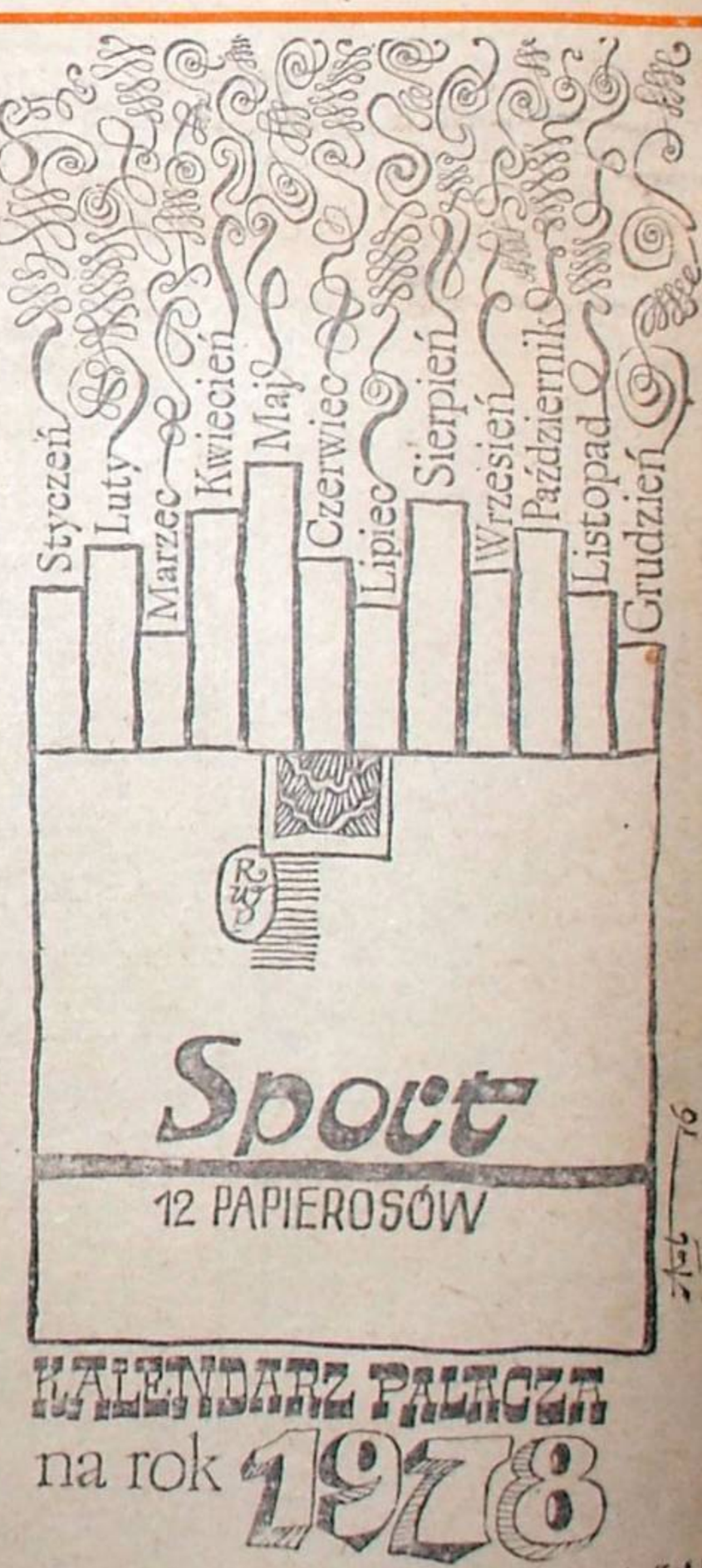

Rys. A. Kot